

E

Castle Rock
dostaje swoją szansę
na odkupienie

STEPHEN KING

UNIESIENIE

WEJDŹ DO
**CASTLE
ROCK**

O książce

TAJEMNICZA PRZYPADŁOŚĆ I ZWYKŁY CZŁOWIEK, KTÓRY W UPIORNYM MIASTECZKU CASTLE ROCK WYWOŁA REWOLUCJĘ...

Pewnego poranka zwykły mieszkaniec Castle Rock, Scott Carey, odkrywa, że sporo stracił na wadze. Świetna wiadomość dla kogoś, kto zawsze miał lekki problem z nadwagą! Tylko że on wygląda, jakby nic się nie zmieniło. Z ubraniami czy bez, z hantlami czy bez nich, waga wciąż pokazuje tyle samo, jak gdyby otaczał go kokon nieważkości. A kolejnego dnia okazuje się, że waży jeszcze mniej...

Scott podchodzi do całej sprawy ze stoickim spokojem, bo, o dziwo, czuje się wspaniale, jakby jego przedziwna przypadłość wyzwalała w nim wszystko, co najlepsze. I pozwalała mu spojrzeć na różne sprawy z innego punktu widzenia. Dzięki czemu dostrzega, że w Castle Rock dzieją się złe rzeczy.

Nie traci jednak rezonu. Nawet kiedy zdaje sobie sprawę, że tajemniczy proces przyspiesza i Dzień Zero być może nadejdzie znacznie szybciej, niż Scott przewidywał. Ale zanim to nastąpi...

STEPHEN KING

UNIESIENIE

Z angielskiego przełożyła
DANUTA GÓRSKA

Ilustracje
MARK GEYER



Wydanie elektroniczne

STEPHEN KING

Wybitny amerykański pisarz, nazywany Królem Horroru, został w 2003 r. uhonorowany prestiżową nagrodą literacką National Book, a w 2015 r. odebrał z rąk prezydenta USA National Medal of Arts. Światową sławę przyniosła mu powieść **Carrie**. Kolejne utwory – powieści, opowiadania i komiksy – opublikowano w setkach milionów egzemplarzy i przełożono na kilkadziesiąt języków. Są wśród nich tak znane książki jak: **Lśnienie, Sklepik z marzeniami, Bastion, Zielona Mila, Dolores Claiborne, Komórka, Uciekinier, Czarna bezgwiezdna noc, Cujo** i ośmiotomowy cykl fantasy **Mroczna Wieża**, na podstawie którego powstał film z Matthew McConaugheyem i Idrisem Elbą w rolach głównych. W 2017 r. miała swoją premierę ekranizacja jednej z kultowych książek Kinga, **To**.

Pod pseudonimem Richard Bachman King opublikował siedem powieści.

Stephen King wciąż szuka nowych wyzwań – w ostatnich latach napisał trylogię kryminalną z detektywem Billem Hodgesem, do której należą książki: **Pan Mercedes, Znalezione nie kradzione i Koniec warty**.

stephenking.com

Tego autora w Wydawnictwie Albatros

ROSE MADDER
DOLORES CLAIBORNE
GRA GERALDA
DESPERACJA
REGULATORZY
SKLEPIK Z MARZENIAMI
BEZSENNOŚĆ
ZIELONA MIŁA
MARZENIA I KOSZMARY
KOMÓRKA
CZTERY PO PÓŁNOCY
CHUDSZY
TO
BASTION
OCZY SMOKA
PO ZACHODZIE SŁOŃCA
CZTERY PORY ROKU
UCIEKINIER
CZARNA BEZGWIEZDNA NOC
CUJO
PODPALACZKA
ROK WILKOŁAKA
MROCZNA POŁOWA
WOREK KOŚCI
DZIEWCZYNA, KTÓRA KOCHAŁA

TOMA GORDONA
NOCNA ZMIANA
ŁOWCA SNÓW
OSTATNI BASTION BARTA DAWESA
UNIESIENIE

Stephen King, Richard Chizmar

PUDEŁKO Z GUZIKAMI GWENDY

Trylogia PAN MERCEDES

PAN MERCEDES
ZNALEZIONE NIE KRADZIONE
KONIEC WARTY

MROczNA WIEŻA

ROLAND
(oraz SIOSTRZYCZKI Z ELURII)
POWOŁANIE TRÓJKI
ZIEMIE JAŁOWE
CZARNOKSIĘŻNIK I KRYSZTAŁ
WIATR PRZEZ DZIURKĘ OD KLUCZA
WILKI Z CALLA
PIEŚŃ SUSANNAH
MROczNA WIEŻA

Powieści graficzne MROczNA WIEŻA

NARODZINY REWOLWEROWCA
DŁUGA DROGA DO DOMU
ZDRADA
UPADEK GILEAD
BITWA O JERICHO HILL
POCZĄTEK PODRÓŻY
SIOSTRZYCZKI Z ELURII
BITWA O TULL
PRZYDROŻNY ZAJAZD
CZŁOWIEK W CZERNI

Wyłącznie jako audiobook i e-book

Stephen King, Joe Hill
W WYSOKIEJ TRAWIE

Stephen King, Stewart O'Nan
TWARZ W TŁUMIE

Tytuł oryginału:
ELEVATION

Copyright © Stephen King 2018
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2018

Polish translation copyright © Danuta Górská 2018

Redakcja: Marta Grał

Zdjęcia na okładce: © Wendy Stevenson/Arcangel Images (*skrzynka na listy*),
Nonchanon/Shutterstock (*płot*), REDAV/Shutterstock (*litery tytułu*)

Projekt graficzny okładki: Hachette UK

Opracowanie graficzne okładki polskiej: Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.

Ilustracje w książce: © Mark Edward Geyer 2018

ISBN 978-83-8125-458-8

Wydawca

WYDAWNICTWO ALBATROS SP. Z O.O.

Hłonda 2a/25, 02-972 Warszawa

www.wydawnictwoalbatros.com

Facebook.com/WydawnictwoAlbatros | Instagram.com/wydawnictwoalbatros

Niniejszy produkt jest objęty ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że publiczne udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

Przygotowanie wydania elektronicznego: Michał Nakoneczny, hachi.media

Z myślą o Richardzie Mathesonie

1

Na wadze

Scott Carey zapukał do drzwi mieszkania Boba Ellisa (wszyscy w Highland Acres wciąż nazywali go „doktor Bob”, chociaż od pięciu lat był na emeryturze), a ten zaprosił go do środka.

– No więc jesteś, Scott. Punkt dziesiąta. Co mogę dla ciebie zrobić?

Scott Carey był wielkim facetem, metr dziewięćdziesiąt trzy wzrostu w skarpetkach, z zaczątkiem brzuszka.

– Sam nie wiem. Pewnie to nic, ale... mam problem. Myślę, że niewielki, ale nigdy nie wiadomo.

– I nie chcesz z tym iść do swojego lekarza?

Ellis miał siedemdziesiąt cztery lata, rzadniejące siwe włosy i lekko utykał, co prawie nie spowalniało go na korcie tenisowym. Tam właśnie spotkali się ze Scottem i zaprzyjaźnili. Niezbyt blisko, ale jednak.

– Och, poszedłem – odparł Scott. – I zrobiłem badania, które dawno miałem zrobić. Krew, mocz, prostata, pełny zestaw. Cholesterol trochę podwyższony, ale jeszcze w granicach normy. To o cukrzycę się martwiłem. Lekarz, z którym kontaktowałem się przez internet, zasugerował, że mogę ją mieć.

To znaczy dopóki nie dowiedział się o ubraniach. Tej historii z ubraniami nie było na żadnej stronie, medycznej czy innej.

Ellis zaprowadził gościa do salonu z wielkim panoramicznym oknem, wychodzącym na czternasty dołek na zamkniętym osiedlu w Castle Rock, gdzie obecnie mieszkał z żoną. Od czasu do czasu doktor Bob rozgrywał rundkę, głównie jednak trzymał się tenisa. To żona doktora lubiła golf i Scott podejrzewał, że właśnie dlatego mieszkali tutaj, kiedy nie spędzali zimy w równie sportowo nastawionym ośrodku na Florydzie.

– Jeśli rozglądasz się za Myrą, to jest na zebraniu metodystek. Tak mi się zdaje, chociaż może to któryś z miejskich komitetów. Jutro wyjeżdża do Portlandu na spotkanie Towarzystwa Mykologicznego Nowej Anglii. Ta kobieta ciągle gdzieś lata jak kot z pęcherzem. Zdejmij kurtkę, usiądź i powiedz mi, czym się martwisz.

Chociaż dopiero zaczął się październik i było dość ciepło, Scott miał na sobie parkę North Face. Kiedy ją zdjął i położył obok siebie na kanapie, w kieszeniach coś zabrzęczało.

– Napijesz się kawy? Herbaty? Chyba zostały jakieś drożdżówki ze śniadania...

– Tracę na wadze – oznajmił nagle Scott. – Tym się martwię. Trochę to dziwne, wiesz? Zwykle omijałem wagę łazienkową szerokim łukiem, bo od jakichś dziesięciu lat niezbyt mi się podobało to, co pokazywała. Teraz pierwsza rzecz, jaką robię rano, to staję na wadze.

Ellis kiwnął głową.

– Rozumiem.

On nie ma powodu, żeby omijać wagę, pomyślał Scott, ten facet to skóra i kości, jak by powiedziała babcia Scotta. Pewnie pożyje jeszcze ze dwadzieścia lat, jeśli nie trafi go grom z jasnego nieba. Może nawet dociągnie do setki.

– Oczywiście znam syndrom omijania wagi, ciągle się z tym spotykałem, kiedy jeszcze prowadziłem praktykę. Widywałem również przeciwieństwo, kompulsywne ważenie się. Zwykle u

bulimików i anorektyków. Ty raczej na takiego nie wyglądasz. – Doktor Bob wychylił się do przodu, ściskając dłonie między chudymi udami. – Ale rozumiesz, że jestem na emeryturze, prawda? Mogę udzielać porad, ale nie wypisuję recept. A moja rada pewnie będzie taka, żebyś wrócił do swojego lekarza i wywalił kawę na ławę.

Scott uśmiechnął się.

– Podejrzewam, że mój lekarz zaraz wysłałby mnie na badania do szpitala, a w zeszłym miesiącu trafiła mi się świetna fucha, projektowanie zintegrowanych witryn internetowych dla sieci domów towarowych. Nie będę wchodził w szczegóły, ale to niezła gratka. Miałem szczęście, że się załapałem. To dla mnie wielki krok naprzód i mogę to robić, nie ruszając się z Castle Rock. Na tym polega piękno ery komputerów.

– Ale nie będziesz mógł pracować, jeśli zachorujesz – powiedział Ellis. – Jesteś bystrym facetem, Scott, i na pewno wiesz, że utrata wagi jest symptomem nie tylko cukrzycy, ale i raka. Między innymi. Ile straciłeś?

– Dwanaście i pół kilo.

Scott wyjrzał przez okno i popatrzył na białe wózki golfowe jeżdżące po zielonej trawie pod błękitnym niebem. Taka fotografia dobrze by wyglądała na stronie WWW Highland Acres. Na pewno mają swoją stronę – w tych czasach wszyscy mają, nawet przydrożne stragany sprzedające jabłka i kukurydzę – ale nie on ją stworzył. On zajmował się teraz ważniejszymi rzeczami.

– Jak dotąd – dodał.

Bob Ellis wyszczerzył w uśmiechu zęby, nadal własne.

– Rzeczywiście to sporo, ale moim zdaniem to ci nie zaszkodzi. Na korcie ruszasz się bardzo dobrze jak na takiego wielkiego faceta i sumiennie ćwiczysz na sprzęcie w siłowni, lecz dźwiganie zbyt wielu kilogramów obciąża nie tylko serce, ale i cały organizm. O czym na

pewno wiesz. Z internetu. – Przewrócił oczami, a Scott się uśmiechnął.

– Ile teraz ważysz?

– Zgadnij.

Bob się roześmiał.

– Co to, konkurs z nagrodami? Właśnie mi się skończyły pluszowe zwierzaki.

– Byłeś lekarzem rodzinnym przez... ile? Trzydzieści pięć lat?

– Czterdzieści dwa.

– Więc nie udawaj skromnego, ważyłeś tysiące pacjentów tysiące razy.

Scott wstał, potężny mężczyzna w dżinsach, flanelowej koszuli i znoszonej czapce Georgia Giants. Wyglądał bardziej na drwala czy kowboja niż na projektanta stron internetowych.

– Zgadnij, ile ważę. Później pogadamy o moim zdrowiu.

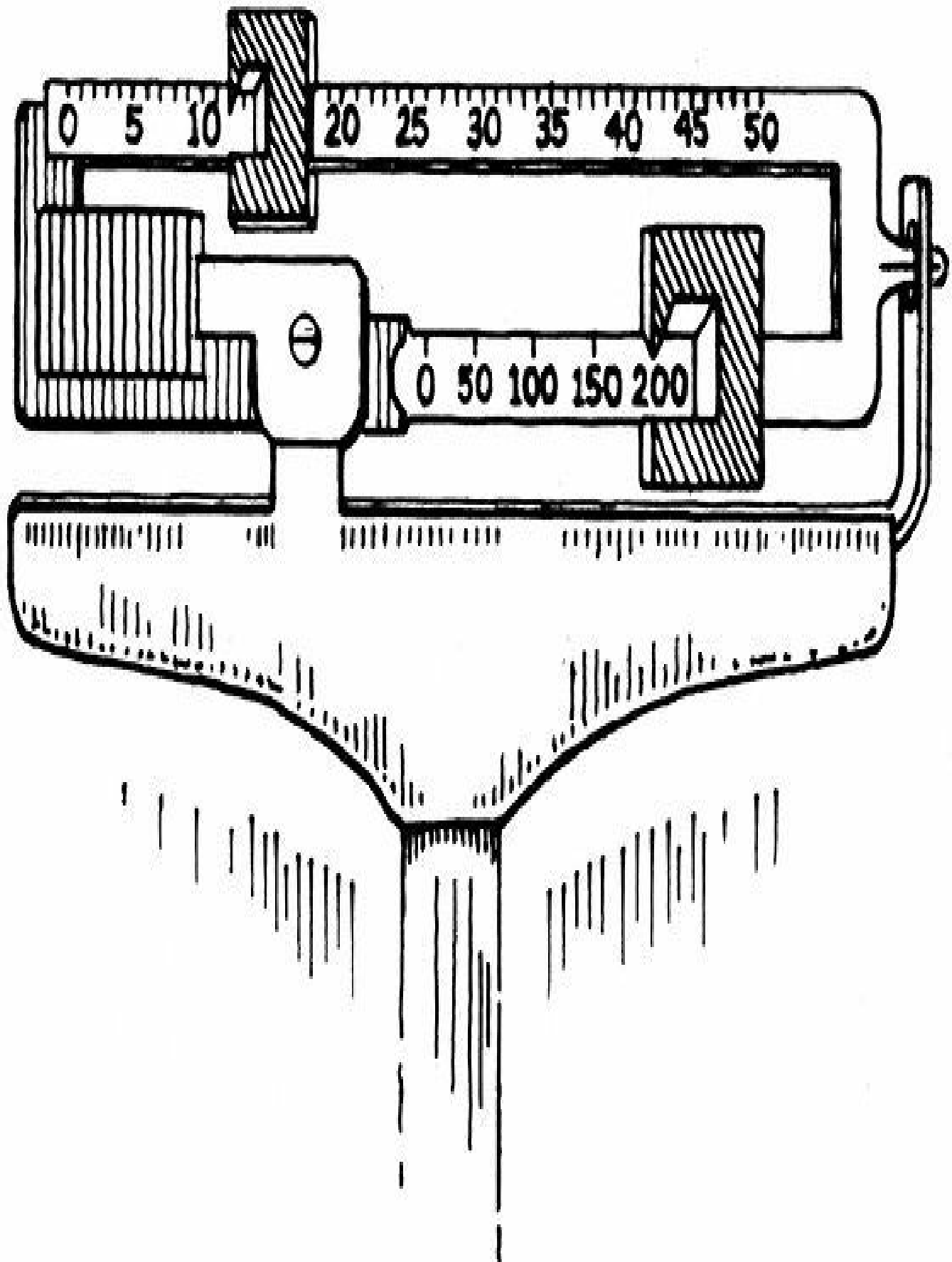
Doktor Bob zmierzył profesjonalnym okiem ponad sto dziewięćdziesiąt centymetrów Scotta Careya – w butach raczej sto dziewięćdziesiąt pięć. Zwrócił szczególną uwagę na okrągłą wypukłość brzucha nad paskiem i długie mięśnie ud, rozbudowane przez przysiady i wyciskanie na suwnicy – ćwiczenia, których on obecnie unikał.

– Rozepnij koszulę i rozchyl.

Scott posłuchał i odsłonił szary podkoszulek z napisem WYDZIAŁ WYCHOWANIA FIZYCZNEGO UNIWERSYTETU MAINE. Bob zobaczył szeroką klatkę piersiową, umięśnioną, ale zaczynającą obrastać złogami tłuszczu, jakie przemądrzałe dzieciaki nazywają „męskimi cyckami”.

– Powiem... – Ellis zawahał się, bo już go wciągnęła ta zabawa. – Powiem: jakieś sto siedem kilo. Może sto dziesięć. Czyli pewnie ważyłeś ze sto dwadzieścia, zanim zacząłeś chudnąć. Muszę przyznać,

że na korcie tenisowym dźwigałeś te kilogramy całkiem sprawnie. Nie zgadłbym, że ważysz aż tyle.



Scott pamiętał, jaki był szczęśliwy, kiedy w tym miesiącu wreszcie zdobył się na odwagę, żeby się zważyć. Wręcz zachwycony. Od tamtego czasu waga spadała w stałym tempie, i to było niepokojące, owszem, ale tylko trochę. To historia z ubraniami zmieniła jego niepokój w strach. Nie potrzeba medycznego portalu, by wiedzieć, że ta sprawa z ubraniami jest więcej niż dziwna, to cholerne kuriozum.

Za oknem przetoczył się wózek golfowy, w którym siedziało dwóch panów w średnim wieku, jeden w różowych spodniach, drugi w zielonych, obaj z nadwagą. Scott pomyślał, że dobrze by im zrobiło, gdyby zrezygnowali z wózka i zrobili rundkę po polu na piechotę.

– Scott? – odezwał się doktor Bob. – Jesteś tu czy odpłynąłeś?

– Jestem, jestem – zapewnił Scott. – Kiedy ostatnio graliśmy w tenisa, naprawdę ważyłem sto osiem. Wiem, bo wtedy wreszcie stanąłem na wadze. Postanowiłem, że czas zrzucić parę kilo. W trzecim secie zaczynało mi brakować tchu. Ale dzisiaj rano ważyłem równą setkę.

Usiadł z powrotem obok swojej parki (która znowu zabrzęczała).

Bob przyjrzał mu się uważnie.

– Nie wyglądasz mi na setkę, Scott. Wybacz, że to mówię, ale wyglądasz na trochę więcej.

– Ale zdrowo?

– Tak.

– Nie jak chory?

– Nie. Przynajmniej nie na pierwszy rzut oka, ale...

– Masz wagę? Na pewno masz. Chodźmy sprawdzić.

Doktor Bob przez chwilę patrzył na Scotta i zastanawiał się, czy jego prawdziwy problem nie tkwi w szarych komórkach nad brwiami. Z doświadczenia wiedział, że głównie kobiety wpadają w neurozę na punkcie swojej wagi, ale zdarza się to również mężczyznom.

– No dobrze, sprawdzimy. Chodź.

Zaprowadził Scotta do gabinetu z regałami pełnymi książek. Na jednej ścianie wisiała oprawiona tablica anatomiczna, a na drugiej rząd dyplomów. Scott zagapił się na przycisk do papieru pomiędzy komputerem a drukarką. Bob podążył wzrokiem za jego spojrzeniem i zaśmiał się. Wziął czaszkę z biurka i rzucił Scottowi.

– To plastik, nie kość, więc nie bój się, że upuścisz. Prezent od mojego najstarszego wnuka. Ma trzynaście lat, co nazywam Wiekiem Niegustownych Prezentów. Podejź tu i zobaczmy, co my tu mamy.

W kącie stała wysoka mechaniczna waga z dwoma odważnikami, dużym i małym, przesuwanymi po stalowych belkach. Ellis poklepał ją.

– Kiedy zamknąłem gabinet w mieście, zatrzymałem sobie tylko tablicę anatomiczną i to. To jest seca, najlepsza lekarska waga wszech czasów. Prezent od żony sprzed wielu lat i możesz mi wierzyć, że nikt nigdy nie oskarżył jej o brak gustu. Myra nie kupuje byle czego.

– Ta waga jest dokładna?

– Powiedzmy, że gdybym na niej zważył dziesięciokilowy worek mąki, a pokazałaby dziewięć i pół, wróciłbym do sklepu i zażądał zwrotu pieniędzy. Musisz zdjąć buty, jeśli chcesz mieć dokładny wynik. I po co przyniosłeś ze sobą kurtkę?

– Zobaczysz.

Scott nie tylko nie zdjął butów, ale przy akompaniamencie pogrząkiwania w kieszeniach włożył parkę. Teraz, całkowicie ubrany, i to o wiele za ciepło na taką pogodę, wszedł na wagę.

– No to dawaj.

Z powodu butów i kurtki Bob przesunął odważnik prawie do końca, na sto piętnaście kilogramów, po czym go cofał, najpierw przesunął, potem popychał. Wskaźnik skali opierał się na podstawie przy stu ośmiu kilogramach, stu pięciu i stu, co doktor Bob uznałby za niemożliwe. Mniejsza o kurtkę i buty, Scott Carey po prostu wydawał

się cięższy. Doktor mógł się pomylić w ocenie o parę kilogramów, ale ważył zbyt wielu otyłych pacjentów, żeby aż tak spudłować.

Języczek wagi zabalansował przy dziewięćdziesięciu sześciu kilogramach.

– A niech mnie drzwi ścisną! – zawołał doktor Bob. – Muszę ją dać do przekalibrowania.

– Niekoniecznie – powiedział Scott. Zszedł z wagi i sięgnął do kieszeni kurtki. Z każdej wyciągnął garść ćwierćdolarówek. – Odkładałem je w zabytkowym nocniku od lat. Zanim Nora odeszła, był prawie pełny. Miałem w każdej kieszeni ze dwa kilogramy metalu, jeśli nie więcej.

Ellis milczał. Odebrało mu mowę.

– Teraz rozumiesz, dlaczego nie chciałem iść do doktora Adamsa? – Scott z następnym wesołym brzękiem wrzucił monety z powrotem do kieszeni kurtki.

Doktor Bob odzyskał głos.

– Dla pewności, czy dobrze zrozumiałem... w domu ważysz tyle samo?

– Co do grama. Mam wagę łazienkową Ozeri, może nie tak dobrą jak to cacko, ale sprawdzałem ją i jest dokładna. Teraz patrz. Zwykle lubię się rozbierać przy nastrojowej muzyce, ale skoro rozbieraliśmy się razem w klubowej szatni, jakoś się obejdę bez akompaniamentu.

Scott zdjął parkę i powiesił ją na oparciu krzesła. Potem, podpierając się o biurko doktora Boba najpierw jedną ręką, potem drugą, ściągnął buty. Następnie poszła flanelowa koszula. Rozpiął pasek, zsunął dżinsy i został w bokserkach, skarpetkach i podkoszulku.

– Mogłem zdjąć z siebie wszystko, ale chyba tyle wystarczy dla demonstracji. Bo widzisz, właśnie to mnie przestraszyło. Ta historia z ubraniami. Dlatego chciałem pogadać z przyjacielem, który umie

trzymać gębę na kłódkę, zamiast z moim lekarzem. – Scott wskazał ubrania i buty na podłodze, a potem parkę z obwisłymi kieszeniami. – Ile to wszystko może ważyć według ciebie?

– Z monetami? Co najmniej siedem kilo. Może osiem. Chcesz to zważyć?

– Nie – rzucił Scott.

Znowu wszedł na wagę. Nie trzeba było przesuwac odważników. Języczek wagi pokazał dziewięćdziesiąt sześć kilogramów.

Scott ubrał się i wrócili do salonu. Doktor Bob nalał im po kropelce woodford reserve i chociaż dopiero minęła dziesiąta rano, Scott nie odmówił. Wychylił swoją porcję jednym haustem i whisky rozpalila przyjemny płomień w jego żołądku. Ellis wziął dwa maleńkie łyżki, jakby oceniał jakoś, po czym wlał w siebie resztę.

– To niemożliwe, wiesz – powiedział, stawiając pustą szklankę na podręcznym stoliku.

Scott kiwnął głową.

– Następny powód, żeby nie rozmawiać z doktorem Adamsem.

– Bo to by się znalazło w systemie – stwierdził Ellis. – Zarejestrowane. I rzeczywiście on by nalegał, żebyś zrobił badania, żeby ustalić, co dokładnie się z tobą dzieje.

Scott pomyślał, chociaż nie powiedział tego na głos, że określenie „nalegać” jest zbyt łagodne. W gabinecie lekarskim doktora Adamsa przyszedł mu do głowy zwrot: „wziąć pod kuratelę”. Dlatego postanowił trzymać język za zębami i porozmawiać ze swoim zaprzyjaźnionym emerytowanym lekarzem.

– Wyglądasz na jakieś sto osiem kilo – ocenił Ellis. – Czy tak się czujesz?

– Nie całkiem. Czuję się trochę... hm... nadwagowy, kiedy naprawdę ważyłem sto osiem. Takie słowo chyba nie istnieje, ale lepiej nie umiem tego wyrazić.

– To dobre słowo, nawet jeśli go nie ma w słowniku – oświadczył Ellis.

– Nie chodziło tylko o nadwagę, chociaż wiedziałem, że przytyłem. To i wiek, i...

– Rozwód? – zapytał delikatnie Ellis w najlepszym stylu doktora Boba.

Scott westchnął.

– Jasne, to też. Rzucił cień na moje życie. Teraz już mi lepiej, czuję się lepiej, ale wciąż to przeżywam. Nie chcę kłamać. Chociaż fizycznie nigdy nie czułem się źle, ciągle ćwiczę trzy razy w tygodniu i dopiero w trzecim secie brak mi tchu, ale... no wiesz, czułem się nadwagowo. Teraz już nie, przynajmniej nie aż tak.

– Więcej energii.

Scott zastanowił się i pokręcił głową.

– Niezupełnie. Raczej tak, jakby energia, którą mam, mogła więcej działać.

– Żadnej apatii? Zmęczenia?

– Nie.

– Brak apetytu?

– Mógłbym zjeść konia z kopytami.

– Jeszcze jedno pytanie i... wybacz, ale muszę je zadać.

– Pytaj. O cokolwiek.

– To nie jest jakiś głupi żart? Żeby nabrać starego emerytowanego konowała?

– Absolutnie nie – zapewnił Scott. – Chyba nie muszę pytać, czy zetknąłeś się kiedyś z takim przypadkiem, ale może o czymś takim czytałeś?

Ellis pokręcił głową.

– Tak jak ty, ciągle się głowię nad tymi ubraniami. I monetami w kieszeniach twojej kurtki.

Witaj w klubie, pomyślał Scott.

– Nikt nie waży tyle samo nagi i ubrany. To równie pewne jak grawitacja.

– Czy możesz zajrzeć na jakieś medyczne strony i poszukać przypadków takich jak mój? Albo podobnych?

– Mogę i poszukam, ale od razu ci powiem, że nic nie znajdę. – Ellis zawahał się. – To nie tylko wykracza poza moje doświadczenie, powiedziałbym, że w ogóle wykracza poza ludzkie doświadczenie. Cholera, powiedziałbym, że to niemożliwe... to znaczy, jeśli twoja waga i moja pokazują prawidłowo, a nie mam powodu sądzić, że jest inaczej. Co się z tobą stało, Scott? Jaka jest geneza? Czy... sam nie wiem... zostałeś czymś napromieniowany? Może nawąchałeś się jakiegoś przeterminowanego sprayu na owady? Pomyśl.

– Zastanawiałem się nad tym i o ile wiem, nic takiego się nie stało. Ale jedno jest pewne: lepiej się czuję, kiedy z tobą pogadałem. Zamiast dusić to w sobie.

Scott wstał i sięgnął po kurtkę.

– Dokąd idziesz? – spytał doktor Bob.

– Do domu. Popracować nad tymi witrynami. To świetna fucha. Chociaż muszę ci się przyznać, że już nie wydaje mi się taka świetna jak na początku.

Ellis odprowadził go do drzwi.

– Mówisz, że zauważyłeś stały spadek wagi. Powolny, ale stały.

– Zgadza się. Jakies pół kilograma dziennie.

– Niezależnie od tego, ile jesz.

– Tak – potwierdził Scott. – A jeśli to będzie trwało dalej?

– Nie będzie.

– Skąd wiesz? Skoro to wykracza poza ludzkie doświadczenie...

Na to doktor Bob nie miał odpowiedzi.

– Nie mów o tym nikomu, Bob. Proszę.

– Zgoda, jeśli obiecasz, że będziesz mnie informować na bieżąco.
Martwię się.

– Tyle mogę obiecać.

Na ganku stanęli obok siebie i przez chwilę podziwiali widok. Dzień był piękny. Liście zieleniły się bujnie, a wzgórza płonęły barwami.

– Przechodząc od wzniosłości do śmieszności – odezwał się doktor Bob – jak sobie radzisz z tymi damami z restauracji, które mieszkają na twojej ulicy? Słyszałem, że miałeś jakieś kłopoty.

Scott nie musiał pytać Ellisa, skąd o tym wie; Castle Rock było małym miasteczkiem i plotki szybko się rozchodziły. Pomyślał, że rozchodzą się jeszcze szybciej, kiedy żona emerytowanego doktora zasiada w najróżniejszych miejskich i kościelnych komitetach.

– Gdyby panna Donaldson i panna McComb usłyszały, że mówisz o nich „damy”, trafiłybyś na ich czarną listę. A biorąc pod uwagę mój obecny problem, nawet o nich nie myślę.

Godzinę później Scott siedział w swoim gabinecie w ładnym trzypoziomowym domu na Castle View, górującym nad miasteczkiem. W takiej drogiej dzielnicy nie czuł się swobodnie, ale Nora tego chciała, a on chciał Nory. Teraz była w Arizonie, a jemu został dom za duży nawet wtedy, kiedy mieszkali tam we dwoje. Plus oczywiście kot. Podejrzewał, że trudniej jej było rozstać się z Billem niż z nim. Wiedział, że to paskudne posądzenie, ale prawda często jest paskudna.

Na środku ekranu komputera widniały wypisane wielkimi literami słowa: MATERIAŁY HOCHSCHILD-KOHN: SZKIC STRONY 4. Nie pracował dla sieci Hochschild-Kohn, która zwinęła interes przed prawie czterdziestu laty, ale przy takim ważnym zleceniu nie szkodziło uważać na hakerów. Stąd pseudonim.

Scott dwukrotnie kliknął i na ekranie wyświetlił się obraz staroświeckiego domu towarowego Hochschild-Kohn (który ostatecznie miał zastąpić zdjęcie znacznie bardziej nowoczesnego budynku, należącego do sieci naprawdę zatrudniającej Scotta). Na dole napis: *Wy dajecie inspirację, my dajemy resztę.*

To ten sklecony naprędce slogan zapewnił mu tę robotę. Umiejętności designerskie to jedno, inspiracja i zręczne slogany to drugie; kiedy się połączą, dostajesz coś wyjątkowego. On był

wyjatkowy i teraz mógł to udowodnić, i zamierzał w pełni wykorzystać tę szansę. W końcu będzie pracował z agencją reklamową, rozumiał to, i oni będą majstrować przy jego słowach i grafice, ale sądził, że ten slogan zostanie. Większość jego głównych pomysłów również zostanie. Były dostatecznie dobre, żeby się obronić przed bandą nowojorskich waźniaków.

Po następnym podwójnym kliknięciu na ekranie pojawił się salon. Był całkiem pusty, nawet bez oświetlenia. Za oknem zieleniła się murawa; tak się złożyło, że była to część pola golfowego Highland Acres, gdzie Myra Ellis rozegrała wiele rundek. Przy kilku okazjach w skład czwórki Myry wchodziła również była żona Scotta, która obecnie mieszkała (i zapewne grała w golfa) we Flagstaff.

Kot Bill D. wszedł do gabinetu, miauknął sennie i otarł się o nogę Scotta.

– Zaraz dostaniesz jeść – mruknął Scott. – Jeszcze kilka minut.

Jakby kot miał jakieś pojęcie o minutach w szczególności i o czasie w ogólności.

Jakbym ja miał jakieś pojęcie, pomyślał Scott. Czas jest niewidzialny. W przeciwieństwie do wagi.

Ach, ale może to nieprawda. Owszem, czuje się wagę – kiedy ważysz za dużo, robisz się nadwagowy – ale czy to nie jest zasadniczo idea wymyślona przez ludzi, podobnie jak czas? Wskazówki zegara, cyfry na wadze łazienkowej, czy to nie są tylko niedoskonałe sposoby mierzenia niewidzialnych sił, powodujących widzialne skutki? Mizerne próby ujarzmania jakiejś większej rzeczywistości leżącej za tym, co zwykli ludzie postrzegają jako rzeczywistość?

– Przestań, bo dostaniesz świra.

Bill miauknął po raz drugi, jakby się z tym zgadzał, i Scott ponownie skupił uwagę na ekranie komputera.

Nad pustym salonem znajdowało się okienko wyboru zawierające słowa: „Wybierz swój styl!”. Scott wpisał „wczesny amerykański” i ekran ożył, nie od razu, tylko powoli, jakby każdy element umeblowania został starannie wybrany przez kupującego i dodany do całości: fotele, kanapa, różowe ściany (nie tapetowane, tylko malowane wałkiem we wzory), zegar kominkowy firmy Seth Thomas, szmaciany dywanik na podłodze. Kominek, w którym płonął niewielki, przyjemny ogień. Górne oświetlenie stanowiły lampy sztormowe w drewnianych obudowach. To już była lekka przesada jak na gust Scotta, ale ludzie z działu sprzedaży, z którymi współpracował, uwielbiali je i zapewniali go, że potencjalni klienci też je pokochają.

Mógł z rozpędu umeblować salon, gabinet i sypialnię, wszystko w stylu wczesnoamerykańskim. Albo mógł wrócić do okienka wyszukiwania i urządzić te wirtualne pokoje w stylu kolonialnym, garnizonowym, Craftsman czy rustykalnym. Na dzisiaj jednak wybrał styl królowej Anny. Otworzył laptop i zaczął wyszukiwać pokazowe meble.

Czterdzieści pięć minut później Bill wrócił. Miauczał i ocierał się bardziej natarczywie.

– Dobrze, dobrze – powiedział Scott.

Wstał i poszedł do kuchni. Kot Bill D. biegł przodem z podniesionym ogonem, sprężystym kocim krokiem, a Scott też czuł, że stąpa cholernie sprężysto. Lekko jak kot.

Nałożył friskies do miseczki Billa i kiedy kot pochłaniał karmę, Scott wyszedł na frontowy ganek, żeby odetchnąć świeżym powietrzem przed powrotem do foteli uszaków Selby, kozetek Winfrey i komód Houzz, wszystkich na słynnych wygiętych nóżkach królowej Anny. Pomyślał, że takie meble widuje się w salonach pogrzebowych, ciężkie graty usiłujące wyglądać lekko, ale co kto lubi.

Zdążył w samą porę, żeby zobaczyć „damy”, jak je nazwał doktor Bob, które zeszły ze swojego podjazdu i skręciły w View Drive, błyskając długimi nogami spod króciutkich szortów – błękitnych u Deirdre McComb, czerwonych u Missy Donaldson. Nosiły identyczne podkoszulki reklamujące restaurację, którą prowadziły w śródmieściu na Carbine Street. Za nimi dreptały ich prawie identyczne bokserki, Dum i Dee.

Powróciło to, co powiedział doktor Bob przed wyjściem Scotta (pewnie tylko chciał zakończyć ich spotkanie lżejszą nutą), coś o kłopotach Scotta z tymi damami z restauracji. To był drobny kłopot. Nie jak gorycz po rozwodzie czy tajemniczy problem z utratą wagi, raczej coś jak opryszczka, która nie chce ustąpić. Bardziej wkurzająca była Deirdre, zawsze z tym swoim lekkim uśmiechem wyższości, który zdawał się mówić: „Boże, pomóż mi wytrzymać z tymi głupcami”.

Scott podjął nagle decyzję i pospieszył z powrotem do gabinetu (zwinnie przeskakując nad Billem, który rozłożył się w holu). Chwycił swój tablet i biegnąc z powrotem na ganek, uruchomił aplikację aparatu fotograficznego.

Ganek był osłonięty siatką, za którą Scott był prawie niewidoczny, a kobiety i tak nie zwracały na niego uwagi. Pobiegły poboczem z ubitej ziemi po drugiej stronie ulicy, migając bielutkimi tenisówkami i kołyszając końskimi ogonami. Psy, krępe, ale wciąż młode i atletycznie zbudowane, pędziły za nimi w podskokach.

Scott dwukrotnie odwiedził ich dom w sprawie tych psów, za każdym razem rozmawiał z Deirdre i cierpliwie znosił ten lekki uśmiech wyższości, kiedy mu tłumaczyła, że naprawdę wątpi, żeby ich psy załatwiały się na jego trawniku. Tylne podwórze jest ogrodzone, mówiła, a przez tę mniej więcej godzinę dziennie, kiedy

wychodzą („Dee i Dum zawsze towarzyszą Missy i mnie w naszych codziennych biegach”), są baaardzo grzeczne.



– Widocznie zwęszyły mojego kota – powiedział Scott. – Rozumiem, że to kwestia terytorialna, i rozumiem, że nie chcecie ich prowadzić na smyczy, kiedy biegacie, ale prosiłbym, żebyście po powrocie zlustrowały mój trawnik i uprzątnęły go w razie konieczności.

– Zlustrowały – powtórzyła Deirdre z niezmiennym uśmiechem. – Brzmi trochę militarystycznie, ale może tylko mi się wydaje.

– Jakkolwiek pani zechce to nazwać.

– Panie Carey, możliwe, że psy, jak to pan ujął, „załatwiają się” na pańskim trawniku, ale to nie są nasze psy. Może przeszkadza panu coś innego? Na przykład uprzedzenie wobec jednopłciowych małżeństw?

Scott o mało nie parsknął śmiechem, co byłoby fatalną – wręcz Trumpowską – dyplomacją.

– Bynajmniej. To uprzedzenie wobec wdepnięcia w niemiłą niespodziankę zostawioną przez jedną z waszych bokerek.

– Interesująca dyskusja – rzuciła, wciąż z tym uśmiechem (nie doprowadzającym do szału, na co niewątpliwie liczyła, ale zdecydowanie irytującym), i spokojnie, ale stanowczo zamknęła mu drzwi przed nosem.

Po raz pierwszy od kilku dni, zapomniawszy o swojej tajemniczej utracie wagi, Scott obserwował dwie kobiety biegnące w jego stronę i psy dzielnie dotrzymujące im kroku. Deirdre i Missy rozmawiały w biegu, z czegoś się śmiały. Ich zdrowo zarumienione policzki błyszcząły od potu. McComb zdecydowanie była lepszą biegaczką od swojej partnerki i wyraźnie się wstrzymywała, żeby jej nie wyprzedzić. Nie zwracały najmniejszej uwagi na psy, co niekoniecznie należało traktować jak zaniedbanie; View Drive nie kipiała od ruchu, zwłaszcza w środku dnia. A Scott musiał przyznać, że psy nie wbiegały na jezdnię. Przynajmniej pod tym względem były dobrze wytresowane.

Dzisiaj nic z tego, pomyślał. To się nigdy nie stanie, kiedy człowiek jest przygotowany. Przyjemnie jednak byłoby zetrzeć ten drwiący uśmiezek z gęby panny McComb...

Ale stało się. Najpierw jedna z bokerek skręciła ostro, potem dołączyła do niej druga. Dee i Dum wbiegły na trawnik Scotta i przykucnęły obok siebie. Scott podniósł tablet i szybko zrobił trzy zdjęcia.

Tego wieczoru, po wczesnej kolacji (spaghetti carbonara i kawał sernika z czekoladą), Scott wszedł na swoją wagę Ozeri jak zwykle z nadzieją, że w końcu sprawy zaczną wracać do normy. Nie zaczęły. Pomimo obfitego posiłku, który właśnie pochłonął, ozeri poinformowała go, że zszedł do dziewięćdziesięciu pięciu i pół kilograma.

Bill przyglądał mu się, siedząc na opuszczonej klapie sedesu, z łapkami schludnie owiniętymi ogonem.

– No cóż – zwrócił się do niego Scott – jest, jak jest, prawda? Jak mawiała Nora, kiedy wracała do domu z tych swoich spotkań, życie jest tym, co z niego zrobimy, a akceptacja jest kluczem do wszystkich naszych problemów.

Bill ziewnął.

– Ale czasem możemy coś zmienić, prawda? Pilnuj domu. Ja idę z wizytą.

Chwycił iPada i pokłusował czterysta metrów do odnowionego farmerskiego domu, w którym McComb i Donaldson mieszkały od jakichś ośmiu miesięcy, odkąd otworzyły Holy Frijole. Całkiem dobrze znał ich rozkład zajęć, tak jak każdy nieświadomie orientuje się w porządku dnia sąsiadów, i wiedział, że o tej porze zostanie Deirdre samą. Missy była szefem kuchni w restauracji i zwykle wychodziła

około trzeciej, żeby zacząć przygotowania do kolacji. Deirdre, stanowiąca reprezentacyjną część tej pary, przychodziła około piątej. Scott przypuszczał, że to ona rządziła, zarówno w pracy, jak i w domu. Missy Donaldson sprawiała na nim wrażenie słodkiej istotki, spoglądającej na świat z mieszaniną lęku i zadziwienia. Bardziej z tym pierwszym niż z tym drugim, podejrzewał. Czy McComb uważała się za opiekunkę Missy, a nie tylko partnerkę? Może. Prawdopodobnie.

Wszedł po stopniach i nacisnął dzwonek. Na dźwięk dzwonka Dee i Dum zaczęły szczekać na tylnym podwórzu.

Deirdre otworzyła drzwi. Miała na sobie ładną, obcisłą sukienkę, w której niewątpliwie będzie wyglądała zabójczo, stojąc na stanowisku hostessy, a potem prowadząc gości do stolików. Największą jej zaletą były oczy, lekko skośne, w urokliwym szarozielonym odcieniu.

– Och, pan Carey – powiedziała. – Jakże miło pana widzieć. – I ten uśmieszek mówiący: „Jakie to męczące znowu pana widzieć”. – Z przyjemnością bym pana zaprosiła, ale muszę iść do restauracji. Mamy dzisiaj mnóstwo rezerwacji. Amatorzy jesiennych liści, wie pan.

– Nie zajmę pani dużo czasu – zapewnił Scott, również z uśmiechem. – Wpadłem tylko, żeby pokazać pani to.

Wyciągnął do niej iPada, żeby mogła zobaczyć, jak Dee i Dum kucają na jego trawniku i srają w tandemie.

Patrzyła na zdjęcie przez długą chwilę i jej uśmiech stopniowo gasł. Nie sprawiło mu to takiej przyjemności, jakiej się spodziewał.

– No dobrze – odezwała się w końcu. Sztuczne ożywienie znikło z jej głosu i teraz wydawała się zmęczona. Nagle wyglądała staro jak na swój wiek; była prawdopodobnie koło trzydziestki. – Wygrał pan.

– Nie chodzi o wygraną, proszę mi wierzyć. – Wypowiadając to zdanie, Scott przypomniał sobie, jak nauczycielka w college’u kiedyś

wygłosiła uwagę, że jeśli ktoś dodaje na końcu zdania „proszę mi wierzyć”, nie należy mu wierzyć.

– Więc udowodnił pan swoją rację. Nie mogę teraz tego zebrać, a Missy jest już w pracy, ale zajmę się tym po zamknięciu restauracji. Nie musi pan nawet zapalać światła na ganku. Powinnam zobaczyć te... odchody... przy świetle latarni ulicznych.

– Nie musi pani tego robić. – Scott zaczynał się czuć trochę podle. Jakby to była jego wina. „Wygrał pan”, powiedziała. – Już to zebrałem do torebki. Ja tylko chciałem...

– Co? Zdobyć nade mną przewagę? Jeśli o to chodziło, misja się powiodła. Odtąd Missy i ja będziemy biegać w parku. Nie ma potrzeby, żeby pan to zgłaszał miejscowym władzom. Dziękuję i miłego wieczoru. – Zaczęła zamykać drzwi.

– Chwileczkę – powstrzymał ją Scott. – Proszę zaczekać.

Spojrzała na niego zza uchylonych drzwi, z twarzą bez wyrazu.

– Pani McComb, nigdy nie przyszło mi do głowy, żeby wzywać hycła z powodu kilku psich kup. Zależy mi na dobrosąsiedzkich stosunkach. Nie podobało mi się tylko, jak pani mnie spławiała. Nie chciała mnie pani potraktować poważnie. Tak nie postępują dobrzy sąsiedzi. Przynajmniej tutaj.

– Och, my doskonale wiemy, jak postępują dobrzy sąsiedzi – odparła. – Również tutaj.

Lekki uśmiezek wyższości powrócił i z tym uśmiezkiem zamknęła drzwi. Zdążył jednak zobaczyć, że w jej oczach coś zabłysło, jakby łzy.

„Doskonale wiemy, jak postępują dobrzy sąsiedzi, również tutaj”, myślał, wracając do domu. Co to, u diabła, miało znaczyć?

Dwa dni później zadzwonił doktor Bob z pytaniem, czy zaszła jakaś zmiana. Scott powiedział mu, że sytuacja rozwija się w tym samym kierunku. Zszedł do dziewięćdziesięciu trzech i pół kilograma.

– To cholernie regularne – dodał. – Wchodzę na wagę, jakbym patrzył na licznik samochodu idący do tyłu.

– Ale nie ma zmian w fizycznych rozmiarach? Obwód pasa? Rozmiar koszuli?

– Ciągle mam sto centymetrów w pasie i noszę tę samą długość dżinsów: trzydzieści cztery. Nie muszę zacieśniać paska. Ani nie muszę popuszczać, chociaż żrę jak świnia. Jajka, bekon i kiełbaski na śniadanie. Sosy do wszystkiego wieczorem. Co najmniej trzy tysiące kalorii dziennie. Może cztery. Szukałeś podobnych przypadków?

– Tak – powiedział doktor Bob. – Na ile się orientuję, nigdy czegoś takiego nie było. Jest mnóstwo klinicznych raportów o ludziach z przyspieszonym metabolizmem... ludziach, którzy żrą jak świnie, według twojego określenia, i pozostają szczupli... nie ma jednak żadnych przypadków ludzi, którzy ważą tyle samo nago i w ubraniu.

– Och, ale to nie wszystko. – Scott znowu się uśmiechał. Ostatnio często się uśmiechał, co w tych okolicznościach zakrawało na szaleństwo. Tracił na wadze niczym chory na raka w ostatnim

stadium, ale praca mu szła jak z płatką i nigdy nie czuł się lepiej. Czasami, kiedy potrzebował się oderwać od ekranu komputera, włączał Motown i tańczył po pokoju, a kot Bill D. patrzył na niego jak na wariata.

– Powiedz mi więcej – poprosił doktor Bob.

– Dziś rano ważyłem dokładnie dziewięćdziesiąt cztery kilogramy. Prosto spod prysznic, goły jak święty turecki. Wyjąłem z szafy hantle, dziesięciokilowe, i wszedłem na wagę, trzymając je w rękach. Wciąż dziewięćdziesiąt cztery.

Na drugim końcu linii przez chwilę panowało milczenie.

– Wkręcasz mnie – odezwał się w końcu Bob.

– Bob, niech skonam, jeśli kłamię.

Znowu milczenie. A potem:

– To jakbyś miał wokół siebie jakieś pole siłowe odpychające ciężar. Wiem, że nie chcesz, żeby cię kłuli i sondowali, ale to coś całkiem nowego. I wielkiego. Może mieć implikacje, jakich nawet nie potrafimy sobie wyobrazić.

– Nie chcę być dziwolągiem – oświadczył Scott. – Postaw się na moim miejscu.

– Przynajmniej pomyślisz o tym?

– Myślę bez przerwy. I nie mam ochoty trafić na pierwszą stronę jakiegoś brukowca, z moim zdjęciem pomiędzy Nocnym Latawcem a Slender Manem. I muszę skończyć robotę. Obiecałem Norze, że podzielę się z nią forszą, chociaż rozwiedliśmy się, zanim dostałem to zlecenie. Kasa na pewno jej się przyda.

– Ile ci to zajmie?

– Może sześć tygodni. Oczywiście będą korekty i próbne rozruchy, które dostarczą mi zajęcia aż do nowego roku, ale sześć tygodni potrzebuję na skończenie głównej pracy.

– Jeśli to będzie postępowało w tym samym tempie, zejdziesz wtedy do siedemdziesięciu pięciu kilogramów.

– Ale wciąż będę wyglądał jak kawał chłopa. – Scott się zaśmiał. – Więc widzisz.

– Wydajesz się dziwnie wesoły, biorąc pod uwagę twoją sytuację.

– Bo mi wesoło. Może to wariactwo, ale tak się czuję. Czasami myślę, że to najlepszy na świecie program odchudzający.

– Tak – mruknął Ellis. – Ale gdzie to się skończy?

Następnego dnia po rozmowie telefonicznej z doktorem Bobem ktoś zapukał lekko do frontowych drzwi Scotta. Gdyby podkręcił muzykę trochę głośniej – akurat puszczał Ramones – wcale nie usłyszałby pukania i gość by odszedł. Zapewne z ulgą, bo kiedy Scott otworzył drzwi, stała tam Missy Donaldson i wyglądała na śmiertelnie przerażoną. Widział ją po raz pierwszy, odkąd zrobił zdjęcia Dee i Dum załatwiających się na jego trawniku. Przypuszczał, że Deirdre dotrzymała słowa i kobiety wyprowadzały teraz psy w miejskim parku. Jeżeli pozwalały tam bokserkom biegać swobodnie, rzeczywiście mogły się narazić facetowi od kontroli zwierząt, nawet jeśli psy zachowywały się grzecznie. W parku obowiązywał nakaz wyprowadzania psów na smyczy. Scott widział tabliczki.

– Pani Donaldson – powiedział. – Witam.

Po raz pierwszy widział ją samą i pilnował się, żeby nie wyjść za próg ani nie wykonywać żadnych gwałtownych ruchów. Obawiał się, że wtedy mogłaby zbiec po stopniach i umknąć jak spłoszona łania. Była blondynką, nie tak ładną jak jej partnerka, ale ze słodką buzią i czystymi błękitnymi oczami. Miała w sobie jakąś kruchość, która skojarzyła się Scottowi z dekoracyjnymi porcelanowymi talerzami jego matki. Trudno było sobie wyobrazić tę kobietę w restauracyjnej kuchni, poruszającą się wśród garnków i patelni w obłokach pary,

nakładającą na talerze wegetariańskie dania i wydającą polecenia podwładnym.

– Czym mogę służyć? Zechce pani wejść? Mam kawę... albo herbatę, jeśli pani woli.

Zanim jeszcze dotarł do połowy tego standardowego zaproszenia, kręciła głową tak energicznie, że jej koński ogon omiatał to jedno, to drugie ramię.

– Przyszłam tylko przeprosić. Za Deirdre.

– Nie ma potrzeby – zapewnił. – I nie ma potrzeby, żebyście zabierały psy aż do parku. Proszę tylko, żebyście brały ze sobą torebki na odchody i sprawdzały mój trawnik w drodze powrotnej. To nie za wiele, prawda?

– Nie, wcale. Nawet zaproponowałam to Deirdre. Mało nie urwała mi głowy.

Scott westchnął.

– Przykro mi to słyszeć. Pani Donaldson...

– Proszę mi mówić Missy, jeśli pan woli. – Spuściła oczy i zarumieniła się lekko, jakby wygłosiła jakąś ryzykowną uwagę.

– Z przyjemnością. Bo chcę tylko utrzymać dobrosąsiedzkie stosunki. Jak większość ludzi tutaj, na View, wie pani. I chyba zrobiłem zły początek, chociaż nie wiem, jak miałbym dobrze zacząć.

Wciąż ze spuszczonego wzrokiem powiedziała:

– Mieszkamy tutaj prawie od ośmiu miesięcy i rozmawiał pan z nami... z którąkolwiek z nas... tylko wtedy, kiedy nasze psy narobiły panu na trawnik.

Z przykrością musiał przyznać, że to prawda.

– Kiedy się wprowadziłyście, przyszedłem z torbą pączków – przypomniał jej (dość słabym głosem) – ale nie było was w domu.

Myślał, że zapyta, dlaczego nie spróbował jeszcze raz, ale nie zapytała.

– Przyszłam przeprosić za Deirdre, ale chciałam również ją wytłumaczyć. – Podniosła na niego wzrok z wyraźnym wysiłkiem, palce splotła mocno na pasku dżinsów. – Wcale nie jest na pana wściekła... to znaczy jest, ale nie tylko na pana. Jest wściekła na wszystkich. Castle Rock to był błąd. Przyjechałyśmy tutaj, bo to miejsce wydawało się gotowe do otwarcia interesu, cena była odpowiednia i chciałyśmy się wynieść z wielkiego miasta... to znaczy z Bostonu. Wiedziałyśmy, że ryzykujemy, ale ryzyko wydawało się do przyjęcia. I miasteczko jest takie piękne. No, ale pan to wie.

Scott kiwnął głową.

– Niestety, prawdopodobnie stracimy restaurację. Jeśli do walentynek nie będzie poprawy. Tylko dlatego się zgodziła, żeby ją umieścili na plakacie. Nie chce rozmawiać o tym, jak jest źle, ale wie, że tak jest. Obie wiemy.

– Wspomniała coś o amatorach jesiennych liści... i wszyscy mówią, że lato było wyjątkowo dobre...

– Lato rzeczywiście było dobre – przyznała, nieco bardziej ożywiona. – Co do amatorów jesiennych liści, to trochę ich przychodzi, ale większość jedzie dalej na zachód, do New Hampshire. W North Conway są sklepy outletowe i więcej atrakcji turystycznych. Pewnie kiedy przyjdzie zima, będziemy miały narciarzy przejeżdżających tędy w drodze do Bethel czy Sugarloaf...

Wiedział, że większość narciarzy omija Castle Rock, jadąc szosą numer 2 na tereny narciarskie w zachodnim Maine, ale po co jeszcze bardziej ją dołować?

– Tylko że kiedy przyjdzie zima, musiałybyśmy liczyć na miejscowych. Na pewno pan wie, jak to jest. W zimnych miesiącach miejscowi handlują z miejscowymi i to pozwala im przetrwać, dopóki nie wrócą letnicy. Sklep z narzędziami, skład drewna, jadłodajnia Patsy's... jakoś sobie radzą w chudych czasach. Tylko że niewielu

miejscowych przychodzi do Frijole. Trochę, ale za mało. Deirdre mówi, że to nie dlatego, że jesteśmy lesbijkami, ale że jesteśmy lesbijskim małżeństwem. Nie lubię myśleć, że ma rację, ale... chyba tak jest.

– Na pewno... – Urwał. To nieprawda? Skąd miał wiedzieć, do cholery, skoro nigdy się nad tym nie zastanawiał?

– Na pewno co? – zapytała. Nie napastliwie, tylko ze szczerą ciekawością.

Znowu pomyślał o łazienkowej wadze i niepowstrzymanie zmniejszających się liczbach.

– Właściwie nie jestem niczego pewien. Przykro mi, jeśli to prawda.

– Powinien pan kiedyś przyjść na kolację – powiedziała. Może w ten sposób chciała mu złośliwie wytknąć, że nigdy nie jadł posiłku w Holy Frijole, ale nie sądził, że o to jej chodziło. Nie dostrzegął w tej kobiecie żadnej złośliwości.

– Przyjdę – obiecał. – Zakładam, że macie *frijoles*¹?

Uśmiechnęła się. To ją rozświetliło.

– O tak, wiele rodzajów.

Odwzajemnił uśmiech.

– To chyba głupie pytanie.

– Muszę iść, panie Carey...

– Scott.

Kiwnęła głową.

– W porządku, Scott. Miło się z tobą rozmawiało. Musiałam zebrać całą odwagę, żeby tu przyjść, ale cieszę się, że się na to zdobyłam.

Wyciągnęła rękę. Scott uściśnął jej dłoń.

– Jeszcze jedno. Gdybyś przypadkiem spotkał Deirdre, wolałabym, żebyś jej nie wspominał o mojej wizycie.

– Umowa stoi – zapewnił Scott.

Następnego dnia, siedząc przy kontuarze w jadłodajni Patsy's i kończąc lunch, Scott usłyszał, jak przy którymś stole za jego plecami ktoś coś powiedział o „tych restauracyjnych lesbach”. Wybuchnął śmiech. Scott spojrział na swoją w połowie zjedzoną porcję szarlotki zwieńczoną gałką lodów waniliowych, które teraz roztapiały się wokół niej w kałużę. Wyglądała dobrze, kiedy Patsy ją przed nim postawiła, ale już nie miał na nią ochoty.

Czy słyszał przedtem takie uwagi i po prostu puszczał je mimo uszu, jak większość podsłuchanej i nieważnej (przynajmniej dla niego) gadaniny? Niechętnie musiał przyznać, że to możliwe.

„Prawdopodobnie stracimy restaurację”, powiedziała. „Musiałybyśmy liczyć na miejscowych”.

Użyła trybu warunkowego, jakby Holy Frijole miała już w oknie tabliczkę NA SPRZEDAŻ ALBO DO WYNAJĘCIA.

Wstał, zostawił napiwek pod talerzykiem deserowym i zapłacił rachunek.

– Nie mogłeś dokończyć ciasta? – zapytała Patsy.

– Chyba żołądek mi się skurczył – odparł Scott.

Ale nie mówił prawdy. Żołądek miał taki jak zawsze, po prostu mniej ważył. Co zadziwiające, już się tym nie przejmował i nawet nie bardzo się martwił. Czasami całkiem wylatywało mu z głowy, że stale

traci na wadze, i to w sposób tak bezprecedensowy. Nie myślał o tym, kiedy czatował, żeby strzelić fotki Dee i Dum kucających na jego trawniku. I nie myślał o tym teraz. W tej chwili myślał tylko o tej chamskiej odzywce.

Przy stoliku, gdzie padła ta uwaga, siedziało czterech mężczyzn, zwalistych facetów w roboczych kombinezonach. Na parapecie leżały rzędem kaski. Mężczyźni nosili pomarańczowe kamizelki z napisami RPCR: Roboty Publiczne Castle Rock.

Scott minął ich, idąc do wyjścia, otworzył drzwi, potem jednak zmienił zdanie i podszedł do stolika, gdzie siedzieli robotnicy. Rozpoznał dwóch; z jednym grał kiedyś w pokera: Ronnie Briggs. Miejscowi, jak on. Sąsiedzi.

– Wiecie co, to co powiedzieliście, było paskudne.

Zaskoczony Ronnie podniósł wzrok, ale kiedy poznał Scotta, wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Hej, Scotty, jak leci?

Scott go zignorował.

– Te kobiety mieszkają przy mojej ulicy. Są w porządku. – No, przynajmniej Missy. Co do McComb nie miał pewności.

Jeden z pozostałych mężczyzn skrzyżował ramiona na szerokiej piersi i zmierzył go spojrzeniem.

– Mówiłem do ciebie?

– Nie, ale...

– Właśnie. Więc spadaj.

– ...ale musiałem tego słuchać.

Jadłodajnia Patsy's była mała, ale zawsze zatłoczona i gwarna w porze lunchu. Teraz rozmowy i energiczne szczęknięcie widelców o talerze ucichły. Głowy się odwróciły. Patsy stała za kasą, gotowa zapobiec kłopotom.

– Powtarzam, spadaj, koleś. Nie twój interes, o czym mówimy.

Ronnie wstał pośpiesznie.

– Hej, Scotty, może wyjdę z tobą?

– Nie ma potrzeby – odparł Scott. – Nie potrzebuję eskorty, ale najpierw muszę coś powiedzieć. Jeśli tam jadacie, jedzenie to wasz interes. Możecie je krytykować do woli. To, co te kobiety robią z resztą swojego życia, to nie wasz interes. Jasne?

Ten, który zapytał Scotta, czy do niego mówił, rozprostował ramiona i wstał. Był niższy od Scotta, ale młodszy i muskularny. Czerwień wypełzła na jego byczą szyję i dotarła do policzków.

– Zabieraj stąd swoją wyszczekaną jadaczkę, zanim ci ją rozkwaszę.

– No, no, żadne takie – zaprotestowała ostro Patsy. – Scott, musisz wyjść.

Scott bez sprzeciwu opuścił jadłodajnię i głęboko odetchnął chłodnym październikowym powietrzem. Za jego plecami ktoś stuknął w szybę. Odwrócił się i zobaczył, że ten z byczym karkiem na niego patrzy. Facet podniósł palec, jakby chciał powiedzieć: „Zaczekaj chwilę”. W oknie Patsy’s wisiały różne plakaty. Osilek zerwał jeden i ruszył do drzwi.

Scott zacisnął pięści. Nie bił się od czasów szkoły podstawowej (wielka walka, która trwała piętnaście sekund, sześć wymierzonych ciosów, w tym cztery nietrafione), ale nagle nie mógł się doczekać tej bójki. Czuł się lekki, bardziej niż gotowy. Nie rozzłoszczony, ale szczęśliwy. Optymistyczny.

Fruwasz jak motyl, żądlisz jak osa, pomyślał. Dawaj, wielkoludzie.

Ale Byczy Kark nie chciał się bić. Zmiał plakat i cisnął go na chodnik, pod nogi Scotta.

– Masz swoją dziewczynę – powiedział. – Możesz ją zabrać do domu i zwalić na nią konia. Inaczej nigdy jej nie przelecisz, chyba że ją zgwałcisz.

Wrócił do środka i z zadowoloną miną usiadł obok kumpli: sprawa zamknięta.

Scott, świadomy, że wszyscy w jadłodajni obserwują go przez okno, schylił się, podniósł zmięty plakat i odszedł bez wyraźnego celu, tylko żeby zejść ludziom z oczu. Nie wstydził się ani nie było mu głupio, że wywołał awanturę w knajpie, w której połowa miasteczka jadała lunch, ale irytowały go te wszystkie ciekawskie oczy. Sprawiały, że zaczynał się zastanawiać, dlaczego ludzie mają ochotę wychodzić na scenę, żeby śpiewać, odgrywać jakieś role albo opowiadać dowcipy.

Wyglądził kulkę papieru i pierwsze, co mu przyszło do głowy, to słowa Missy Donaldson: „Tylko dlatego się zgodziła, żeby ją umieścili na plakacie”. Jak Scott się domyślił, chodziło o Komitet Biegu Indyka w Castle Rock.

Środek plakatu zajmowało zdjęcie Deirdre McComb. Byli też inni biegacze, w większości za nią. Do gumki skąpych błękitnych szortów miała przypięty numer 19. Nad szortami znajdowała się koszulka z napisem MARATON MIASTA NOWY JORK 2011. Na twarzy Deirdre malował się wyraz, jakiego Scott z nią nie kojarzył: błogie szczęście.

Podpis głosił:

Deirdre McComb, współwłaścicielka Holy Frijole, najnowszego przybytku wykwintnej kuchni w Castle Rock, przed linią mety nowojorskiego maratonu, w którym zajęła CZWARTE miejsce w kategorii kobiet! Zapowiedziała, że pobiegnie w tegorocznym Biegu Indyka Castle Rock. A TY?

Pod spodem umieszczono szczegóły. Doroczny bieg odbędzie się w piątek po Święcie Dziękczynienia, początek przed Wydziałem Rekreacji na Castle View, koniec na Tin Bridge. Zapraszamy uczestników w każdym wieku, wstęp dorośli pięć dolarów dla

miejscowych, siedem dla przyjezdnych, dwa dolary dla dzieci poniżej lat piętnastu, zapisy w Wydziale Rekreacji Castle Rock.

Widząc błogość na twarzy kobiety na zdjęciu – haj biegacza w najczystszej postaci – Scott zrozumiał, że Missy nie przesadzała w ocenie przewidywanej długości życia Holy Frijole. Bynajmniej. Deirdre McComb była dumną kobietą, miała o sobie wysokie mniemanie i łatwo się obrażała – zbyt łatwo, zdaniem Scotta. Widocznie już chwytła się brzytwy, skoro pozwoliła wykorzystać swoje zdjęcie w taki sposób, zapewne tylko dla tej wzmianki o „najnowszym przybytku wykwiintnej kuchni w Castle Rock”. Wszystko, absolutnie wszystko, byle przyciągnąć więcej klientów, choćby tylko dla podziwiania tych długich nóg stojących na stanowisku hostessy.

Scott złożył plakat, wetknął do tylnej kieszeni dżinsów i powoli ruszył po Main Street, oglądając po drodze wystawy sklepów. Wszędzie wisiały plakaty – ogłoszenia o kościelnych kolacjach, o tegorocznej gigantycznej wyprzedaży podwórkowej na parkingu Oxford Plains Speedway, ogłoszenia o imprezie w kościele katolickim i przyjęciu składkowym w remizie. Zobaczył plakat Biegu Indyka w oknie Sprzedaży & Naprawy Komputerów, ale nigdzie indziej, dopóki nie dotarł do Kącika Książek, małego budynekczku na końcu ulicy.

Wszedł, poszperał trochę i wziął ze stołu z obniżkami ilustrowaną książkę *Meble i lampy Nowej Anglii*. Może nie znajdzie tam niczego, co mógłby wykorzystać w swoim projekcie – zwłaszcza że pierwszy etap był na ukończeniu – ale nigdy nie wiadomo. Kiedy płacił Mike’owi Badalamente, właścicielowi i jedyjnemu pracownikowi, wspomniał o plakacie w oknie i dodał, że ta kobieta jest jego sąsiadką.

– Taa, Deirdre McComb była czołową biegaczką przez prawie dziesięć lat – powiedział Mike, pakując do torby jego książkę. –

Startowałyby na olimpiadzie w dwunastym, tylko że złamała kostkę. Pech. Domyślałam się, że w szesnastym nawet nie próbowała. Wycofała się już z ważniejszych zawodów, ale nie mogę się doczekać, żeby z nią pobiec w tym roku. – Wyszczrzył zęby. – Chociaż nie pobiegnę z nią długo po tym, jak już sędzia da sygnał. Ona rozniesie w pył konkurencję.

– Mężczyzn też, nie tylko kobiety?

Mike zaśmiał się.

– Chłopie, nie na darmo nazywali ją Błyskawicą z Malden. Malden to tam, skąd ona pochodzi.

– Widziałem plakat w Patsy's i jeden w sklepie komputerowym, no i w twoim oknie – powiedział Scott. – Nigdzie indziej. Co jest grane?

Uśmiech Mike'a zgasł.

– Nie ma się czym chwalić. Ona jest lesbijką. Pewnie byłoby w porządku, gdyby się z tym nie afiszowała... nikogo nie obchodzi, co się dzieje za zamkniętymi drzwiami... ale ona musi przedstawiać tę, która gotuje we Frijole, jako swoją żonę. Wielu ludzi odbiera to jako jedno wielkie „walcie się”.

– Więc firmy nie wywieszają plakatów, chociaż wpisowe idzie na Wydział Rekreacji? Tylko dlatego, że tam jest jej zdjęcie?

Po tym, jak Byczy Kark cisnął mu pod nogi plakat z jadłodajni, to nie były nawet pytania, tylko sposób na uporządkowanie myśli. Scott poczuł się trochę tak jak wtedy, kiedy miał dziesięć lat i brat jego najlepszego przyjaciela posadził młodszych chłopców i wyjaśnił im pewne życiowe fakty. Teraz, tak jak wtedy, Scott miał niejasne pojęcie o całokształcie, ale szczegóły wciąż go zadziwiały. Ludzie naprawdę tamto robili? Owszem, robili. Widocznie robili również to.

– Zastąpią te plakaty nowymi – oznajmił Mike. – Przypadkiem wiem, bo jestem w Komitecie. To był pomysł burmistrza Coughlina. Znasz Dusty'ego, króla kompromisu. Na nowych będzie stado indyków

biegnących po Main Street. Nie podoba mi się i nie głosowałem na nie, ale rozumiem uzasadnienie. Miasto właśnie przyznało Rekreacji marne grosze, dwa tysiące dolarów. To nie wystarczy na utrzymanie placu zabaw, nie mówiąc o innych rzeczach. Bieg Indyka przynosi prawie pięć tysięcy, ale musimy zrobić reklamę.

– Więc... tylko dlatego, że ona jest lesbijką...

– Żonatą lesbijką. Dla wielu ludzi to nie do przyjęcia. Znasz miejscowych, Scott, mieszkasz tu już... ile? Dwadzieścia pięć lat?

– Ponad trzydzieści.

– Taak, to solidne republikańskie hrabstwo. Konserwatywne republikańskie hrabstwo. W dwa tysiące szesnastym trzy czwarte mieszkańców głosowało na Trumpa, a naszego kretyńskiego gubernatora uważają za cudotwórcę. Gdyby te dwie kobiety zachowały dyskrecję, poradziłyby sobie śpiewająco, ale nie. Teraz ludzie myślą, że one próbują urządzać jakieś demonstracje. Ja sądzę, że albo nie orientują się w tutejszym klimacie politycznym, albo są zwyczajnie głupie. – Zrobił przerwę. – Chociaż jedzenie mają dobre. Byłeś tam?

– Jeszcze nie – przyznał Scott. – Ale się wybieram.

– No to nie czekaj za długo – ostrzegł Mike. – W przyszłym roku o tej porze będzie tam pewnie lodziarnia.

2

Holy Frijole

Zamiast wrócić do domu, jak planował, Scott poszedł do miejskiego parku, żeby przekartkować nowy nabytek i obejrzeć zdjęcia. Przespacerował się po drugiej stronie Main Street i zobaczył jeszcze jeden plakat, który teraz nazywał w myślach „plakatem Deirdre”, w oknie pasmanterii. Nigdzie indziej.

Mike powtarzał „one” i „te kobiety”, ale Scott naprawdę wątpił, że chodzi o obie. Chodziło tylko o McComb. Ona była tą agresywną połową pary. Missy Donaldson wolałaby siedzieć cicho jak mysz pod miotłą. Na pewno nie chciała z nikim zadzierać.

A jednak przyszła do mnie, pomyślał, i broniła swojej kobiety. To wymagało odwagi.

Tak, i polubił ją za to.

Położył *Meble i lampy Nowej Anglii* na parkowej ławce i zaczął wbiegać i zbiegać po stopniach podium dla orkiestry. Nie pragnął wysiłku, tylko ruchu. Nosi mnie, pomyślał. Nie mogę sobie znaleźć miejsca. Raczej wskakiwał, niż wbiegał po stopniach. Zrobił to kilka razy i wrócił na ławkę, zauważywszy z zainteresowaniem, że wcale się nie zadyszał i ma tylko lekko przyspieszony puls.

Wyjął telefon i zadzwonił do doktora Boba. Ten najpierw zapytał o jego wagę.

– Dziewięćdziesiąt dwa i pół dziś rano – odparł Scott. – Słuchaj, czy...

– Więc to trwa dalej. Nie myślałeś, żeby potraktować to poważnie i naprawdę się tym zająć? Ponieważ utrata dwudziestu kilogramów to poważna sprawa. Ciągle mam kontakty w szpitalu Massachusetts i myślę, że kompletne badanie od A do Z nie będzie cię kosztowało ani centa. Może nawet oni ci zapłacą.

– Bob, czuję się dobrze. Nawet lepiej niż dobrze. Zadzwoń mi do ciebie, żeby zapytać, czy już jadłeś w Holy Frijole.

Ellis milczał przez chwilę, przetrawiając tę zmianę tematu.

– W tej restauracji twoich lesbijskich sąsiadek? – odezwał się w końcu. – Nie, jeszcze nie.

Scott zmarszczył brwi.

– Wiesz co? Może w nich jest coś więcej niż tylko orientacja seksualna. Tylko tak mówię.

– Wyluzuj. – Ellis wydawał się lekko zaskoczony. – Nie chciałem ci nadebrać na odcisk.

– W porządku. Po prostu... miałem drobne zajście przy lunchu. W Patsy's.

– Jakie zajście?

– Sprzeczkę. Z powodu tych dwóch kobiet. Nieważne. Słuchaj, Bob, może się wypuścimy na wieczór? Holy Frijole. Kolacja. Ja stawiam.

– Kiedy proponujesz?

– Może dzisiaj?

– Dziś nie mogę, ale mogę w piątek. Myra spędza weekend u siostry w Manchesterze, a ja fatalnie gotuję.

– Więc jesteśmy umówieni – powiedział Scott.

– Męska randka – przytaknął Ellis. – Za chwilę mi się oświadczysz.

– Popęłniłbyś bigamię, a ja nie chcę cię wodzić na pokuszenie. Zrób dla mnie tylko jedno: zarezerwuj stolik.

– Ciągłe masz z nimi na pieńku? – Ellis wydawał się rozbawiony. –
Nie lepiej sobie odpuścić? W Bridgton jest miła włoska knajpa.

– Nic z tego. Nastawiłem się na meksykańskie żarcie.

Doktor Bob westchnął.

– Chyba mogę załatwić rezerwację, chociaż z tego, co słyszę o tym
miejscu, to raczej nie będzie konieczne.

Wpiątek Scott przyjechał po Ellisa, bo ten już nie lubił prowadzić po ciemku. Droga do restauracji była krótka, ale dostatecznie długa, żeby Bob zdążył wyznać Scottowi, dlaczego wolał odłożyć ich męską randkę na piątek – nie chciał się pokłócić z Myrą, zasiadającą w kościelnym i miejskim komitecie, które nie spoglądały życzliwie na dwie kobiety prowadzące najnowszy przybytek wykwintnej kuchni w Castle Rock.

– Żartujesz – powiedział Scott.

– Niestety nie. Myra ma otwarty umysł w większości spraw, ale jeśli chodzi o politykę seksualną... Powiedzmy, że została wychowana w określony sposób. Mogliśmy się pokłócić, nawet poważnie, bo ja uważam, że to, co się dzieje za drzwiami sypialni, nie powinno nikogo postronnego obchodzić. Lepiej w miarę możliwości całkowicie unikać tego tematu. Stare małżeństwo wrzeszczące na siebie to przykry widok.

– Powiesz jej, że odwiedziłeś to meksykańsko-wegetariańskie gniazdo nieprawości?

– Jeśli zapyta, gdzie jadłem w piątek wieczorem, to tak. Inaczej będę trzymał głowę na kłódkę. I ty też.

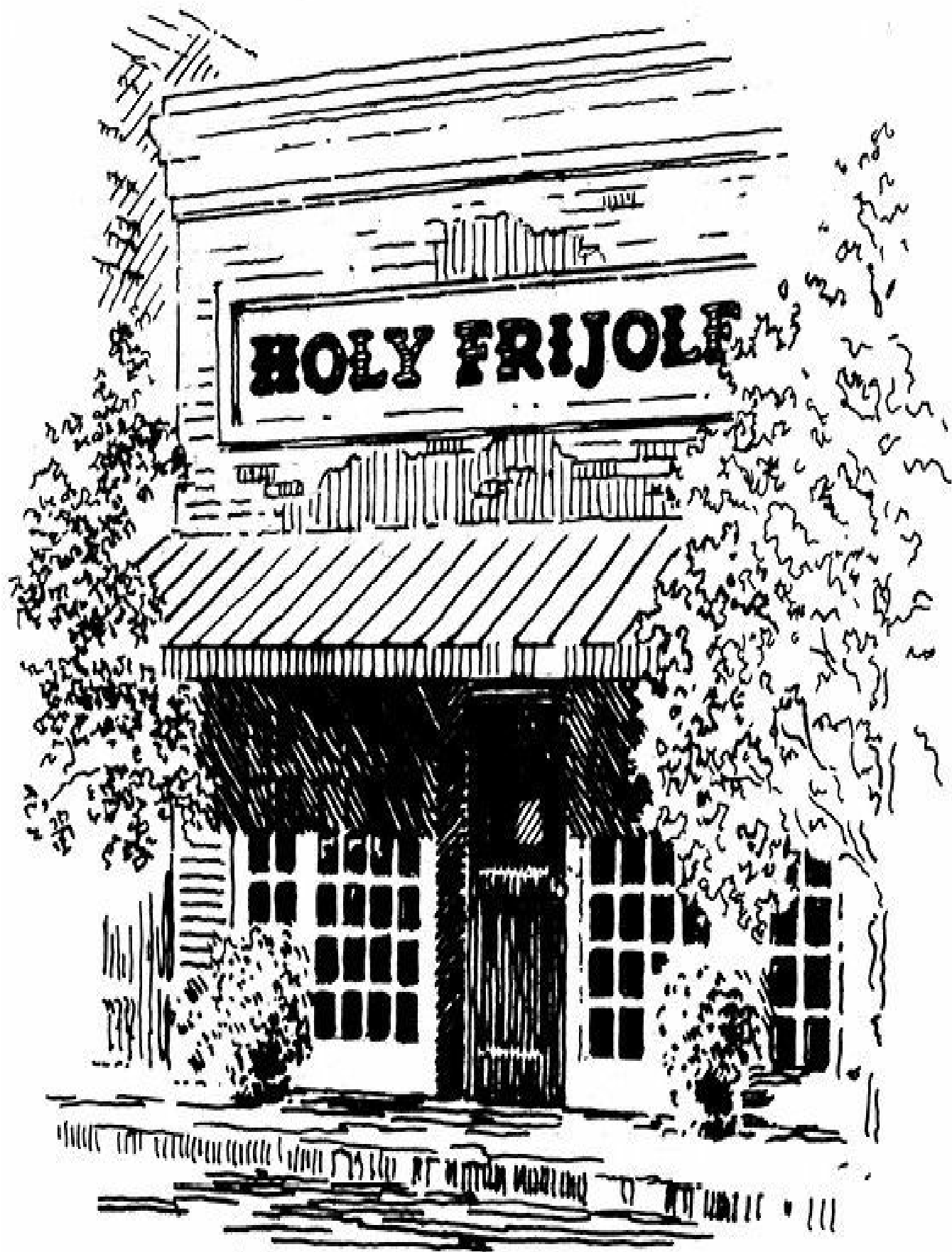
– I ja też – zapewnił solennie Scott. Wjechał na jedno z ukośnych miejsc parkingowych. – Jesteśmy na miejscu. Dzięki, że mi

towarzyszysz, Bob. Mam nadzieję, że to poprawi sytuację.

Nie poprawiło.

Deirdre stała przy stanowisku hostessy, ubrana nie w sukienkę, ale w białą koszulę i czarne spodnie rurki, podkreślające jej wspaniałe nogi. Doktor Bob wszedł pierwszy i uśmiechnęła się do niego – nie tym lekkim uśmieszkiem wyższości, z zamkniętymi ustami i uniesionymi brwiami, ale profesjonalnym powitalnym uśmiechem. Potem zobaczyła Scotta i uśmiech zgasł. Spojrzała na niego chłodno szarozielonymi oczami, jak na robaka pod szkiełkiem mikroskopu, potem spuściła wzrok i wzięła dwie karty dań.

– Zaprowadzę panów do stolika.



Po drodze Scott podziwiał wystrój. Mało powiedziane, że McComb i Donaldson się postarały, najwyraźniej włożyły w to całe serce. Z podsufitowych głośników cicho sączyła się meksykańska muzyka – ten rodzaj nazywał się bodajże *tenjano* czy *ranchera*. Ściany wykończono szorstkim żółtym tynkiem, stylizowanym na cegłę suszoną na słońcu. Kinkiety wyglądały jak kaktusy z zielonego szkła. Duże makaty przedstawiały słońce, księżyc, dwie tańczące mały i żabę o złocistych oczach. Sala była dwukrotnie większa od jadłodajni Patsy's, ale siedziało tam tylko pięć par i cztery osoby przy jednym stoliku.

– Proszę bardzo – powiedziała Deirdre. – Mam nadzieję, że kolacja będzie panom smakować.

– Na pewno – rzucił Scott. – Bardzo tu miło. Pani McComb, miałem nadzieję, że zaczniemy od początku. Myśli pani, że to możliwe?

Spojrzała na niego spokojnie, ale bez cienia życzliwości.

– Gina zaraz do panów podejdzie i powie, jaka jest nasza specjalność.

Po tych słowach odeszła.

Doktor Bob usadowił się wygodnie i rozłożył serwetkę.

– Ciepły okład delikatnie przykładany do czoła i policzków.

– Słucham?

– Kuracja na odmrożenie. Chyba właśnie dostałeś lodem prosto w twarz.

Zanim Scott zdążył odpowiedzieć, pojawiła się kelnerka – chyba jedyna w tym lokalu. Podobnie jak Deirdre McComb, była w czarnych spodniach i białej koszuli.

– Witamy w Holy Frijole. Czy mogę zaproponować panom coś do picia?

Scott poprosił o colę. Ellis zamówił kieliszek domowego wina, potem nałożył okulary, żeby lepiej się przyjrzeć młodej kobiecie.

– Ty jesteś Gina Ruckleshouse, tak? Na pewno. Twoja matka była moją asystentką, kiedy jeszcze miałem gabinet w mieście, mniej więcej w epoce jurajskiej. Bardzo jesteś do niej podobna.

Uśmiechnęła się.

– Teraz nazywam się Gina Beckett, ale reszta się zgadza.

– Miło cię widzieć, Gino. Przekaż matce pozdrowienia.

– Przekażę. Pracuje teraz w centrum medycznym Dartmouth-Hitchcock, w New Hampshire. Zaraz wrócę, żeby opowiedzieć panom o naszych specjalnościach.

Kiedy wróciła, oprócz napojów przyniosła zakąski i postawiła talerze na stole niemal z namaszczeniem. Pachniało zniewalająco.

– Co my tu mamy? – zapytał Scott.

– Świeżo smażone chipsy z zielonych bananów i salsę z czosnku, kolendry, limonki i małych zielonych papryczek chili. Z pozdrowieniami od szefa kuchni. Mówi, że to bardziej kubańskie niż meksykańskie, ale ma nadzieję, że i tak będzie smakowało.

Gdy Gina odeszła, doktor Bob z uśmiechem pochylił się nad stołem.

– Zdaje się, że odniosłeś sukces przynajmniej u tej z kuchni.

– Może to ciebie faworyzują. Gina mogła szepnąć Missy na ucho, że jej matka dawniej harowała w twoim medycznym aparacie wyzysku.

– Chociaż Scott wiedział, że nie o to chodzi... albo przynajmniej tak myślał.

Doktor Bob znacząco poruszył krzaczastymi siwymi brwiami.

– Missy, hę? Jesteście po imieniu, co?

– Daj spokój, doktoru, przestań.

– Przestanę, jeśli ty przestaniesz do mnie mówić „doktoru”. Nie cierpię tego. Kojarzy mi się z Milburnem Stone’em.

– Kto to jest?

– Wygoogluj sobie, kiedy wrócisz do domu, moje dziecko.

Zjedli, i to zjedli dobrze. Potrawy były bezmięsne, ale przepyszne: enchilady z *frijoles* i tortille, które z pewnością nie pochodziły z supermarketu. Przy kolacji Scott opowiedział Ellisowi o swojej drobnej scysji w Patsy's i o plakatach ze zdjęciem Deirdre McComb, które wkrótce miały być zastąpione przez mniej kontrowersyjne, przedstawiające stado indyków jak z filmów rysunkowych. Zapytał, czy Myra zasiadała w tym Komitecie.

– Nie, do tego nie trafiła... chociaż na pewno pochwaliłaby tę zmianę.

Następnie doktor skierował rozmowę z powrotem na tajemniczą utratę wagi Scotta i jeszcze bardziej tajemniczy fakt, że Scott wydawał się nie zmieniać fizycznie. I oczywiście na fakt najbardziej tajemniczy ze wszystkich: że cokolwiek na siebie włożył albo trzymał w ręce, ważył tyle samo.

Weszło jeszcze kilka osób i stało się jasne, dlaczego McComb nosi strój kelnerki: pracowała również jako kelnerka, przynajmniej tego wieczoru. Fakt, że wypełniała podwójne obowiązki, jeszcze bardziej wymownie świadczył o zagrożeniu ekonomicznym restauracji. Zaczęły się przymusowe oszczędności.

Gina zapytała, czy życzą sobie deser. Obaj odmówili.

– Nie zmieściłbym już ani kęsa, ale proszę powiedzieć pani Donaldson, że było wyśmienite – powiedział Scott.

Doktor Bob podniósł oba kciuki.

– Ucieszy się – rzuciła Gina. – Zaraz przyniosę rachunek.

Restauracja szybko pustoszała, zostało tylko kilka par sączących drinki po kolacji. Deirdre pytała wychodzących gości, jak im smakowało, i dziękowała za przybycie. Promienne uśmiechy. Ale żadnych uśmiechów dla dwóch mężczyzn przy stoliku pod makatką z zębą, nawet nie spojrzała w ich stronę.

Jakbyśmy byli trędowaci, pomyślał Scott.

– Na pewno dobrze się czujesz? – zapytał po raz chyba dziesiąty doktor Bob. – Żadnej arytmii serca? Żadnych omdleń? Nadmiernego pragnienia?

– Nic takiego. Wręcz przeciwnie. Chcesz usłyszeć coś ciekawego?

Scott opowiedział, jak wbiegał i zbiegał po stopniach podium dla orkiestry – prawie po nich skakał – i jak potem zmierzył sobie puls.

– Nie spoczynkowy, ale niski jak cholera – dodał. – Poniżej osiemdziesięciu. No i nie jestem lekarzem, wiem jednak, jak wygląda moje ciało, i wcale nie tracę mięśni.

– Przynajmniej na razie – mruknął Ellis.

– Wątpię, czy do tego dojdzie. Myślę, że masa mięśniowa pozostaje taka sama, chociaż jej ciężar w jakiś sposób znika.

– Przecież to obłąd, Scott.

– Zgadzam się w pełni, ale tak właśnie jest. Grawitacja ma nademną coraz mniejszą władzę. Ale kto by się tym martwił?

Zanim doktor Bob odpowiedział, wróciła Gina z rachunkiem. Scott podpisał, dodał hojny napiwek i jeszcze raz powtórzył, że wszystko było bardzo smaczne.

– To świetnie. Proszę nas znowu odwiedzić. I opowiedzieć znajomym. – Nachyliła się do nich i zniżyła głos. – Naprawdę potrzebujemy klientów.

Deirdre McComb nie dyżurowała przy stanowisku hostessy, kiedy wychodzili; stała na chodniku u podnóża schodów i spoglądała na światła stopu na Tin Bridge. Odwróciła się do Ellisa i obdarzyła go uśmiechem.

– Czy mogłabym zamienić słówko na osobności z panem Careyem? To zajmie tylko chwilę.

– Oczywiście. Scott, przejdę na drugą stronę ulicy i obejrzę wystawę księgarni. Zatrąb klaksonem, kiedy będziesz gotowy.

Doktor Bob przeciął Main Street (jak zwykle opustoszałą o ósmej wieczorem; miasteczko wcześniej kładło się spać), a Scott odwrócił się do Deirdre. Już się nie uśmiechała. Zobaczył, że jest zła. Miał nadzieję, że przychodząc do Holy Frijole, naprawi sytuację, lecz tylko ją pogorszył. Nie wiedział dlaczego, ale najwyraźniej tak się stało.

– O co chodzi, pani McComb? Jeśli wciąż o psy...

– Jak może chodzić o psy, skoro teraz biegamy z nimi w parku? Albo przynajmniej próbujemy. Smycze ciągle im się płaczą.

– Przecież możecie z nimi biegać po View – powiedział. – Już pani mówiłem. To tylko kwestia zbierania ich...

– Mniejsza o psy. – Szarozielone oczy niemal miotają iskry. – Ten temat jest zamknięty. Natomiast pozostaje temat pańskiego zachowania. Nie potrzebujemy, żeby pan stawał w naszej obronie

w miejscowej mordowni i znowu wywoływał plotki, które już zaczęły przycichać.

Jeśli myślisz, że zaczęły przycichać, to nie widziałaś, jak mało sklepów powiesiło na wystawach twoje plakaty, pomyślał Scott. Na głos powiedział:

– Patsy’s to nie mordownia. Może nie podają tam jedzenia waszej klasy, ale jest czysto.

– Czysto czy brudno, nie o to chodzi. Potrafię sama się bronić. Nie potrzebuję... nie potrzebujemy, żeby pan odgrywał sir Galahada. Po pierwsze jest pan trochę za stary do tej roli. – Przesunęła wzrokiem po froncie jego koszuli. – Po drugie trochę za dużo pan waży.

Biorąc pod uwagę obecny stan Scotta, ten przytyk był całkowicie nietrafiony, wywołał w nim jednak pewne ironiczne rozbawienie; ona wpadłaby w furję, gdyby jakiś mężczyzna powiedział o kobiecie, że jest trochę za stara i trochę za dużo waży, żeby odgrywać rolę Ginewry.

– Słyszałem – odparł. – Przyjąłem do wiadomości.

Przez chwilę wydawała się zbita z tropu jego spokojną odpowiedzią – jakby zamachnęła się do łatwego ciosu i z niepojętych powodów nie trafiła.

– Skończyliśmy, pani McComb?

– Jeszcze jedno. Chcę, żeby pan się trzymał z dala od mojej żony.

Więc wiedziała, że rozmawiał z Donaldson. Teraz z kolei on się zawahał. Czy Missy przyznała się partnerce, że poszła do niego, czy też, może dla zachowania pozorów, powiedziała, że to Scott przyszedł do niej? Gdyby zapytał, mógłby jej narobić kłopotów, a tego nie chciał. Nie był małżeńskim ekspertem – o czym najlepiej świadczyło jego własne małżeństwo – ale przypuszczał, że problemy z restauracją powodują już dostatecznie dużo stresów w tym związku.

– To mogę obiecać – powiedział. – Czy teraz skończyliśmy?

– Tak. – I podobnie jak na koniec pierwszej konfrontacji, zanim zamknęła mu drzwi przed nosem, dodała: – Interesująca dyskusja.

Patrzył, jak wchodzi na stopnie, smukła i zwinna w czarnych spodniach i białej koszuli. Wyobraził sobie, jak wbiega i zbiega po stopniach podium dla orkiestry, znacznie szybciej niż on nawet po rzuceniu dwudziestu kilogramów, lekka jak baletnica. Co takiego powiedział Mike Badalamente? „Nie mogę się doczekać, żeby z nią pobiec w tym roku. Chociaż nie pobiegnę z nią długo...”.

Bóg dał jej piękne ciało do biegania i Scott serdecznie żałował, że ta kobieta nie czerpie z tego więcej radości. Przypuszczał, że za tym wyniosłym uśmiechem Deirdre McComb ma w ostatnich czasach niewiele powodów do radości.

– Pani McComb?

Odwróciła się. Czekwała.

– To naprawdę była doskonała kolacja.

Żadnego uśmiechu, wyniosłego czy innego.

– To dobrze. Przypuszczam, że przekazał pan już to Missy przez Ginę, ale chętnie jeszcze raz jej powtórzę. A teraz, skoro już pan tu był i opowiedział się po stronie politycznie poprawnych aniołów, może zostanie pan przy Patsy’s? Tak chyba będzie wygodniej dla nas wszystkich.

Weszła do środka. Scott przez chwilę stał na chodniku, czując... Co? Nie potrafił określić jednym słowem tej dziwacznej mieszaniny emocji. Skarcony, tak. Nieco ubawiony, owszem. Lekko wkurzony. Ale ponad wszystko zasmucony. Oto kobieta, która odrzuciła gałązkę oliwną, a on wierzył – naiwnie, jak się okazuje – że każdy pragnie pokoju.

Chyba doktor Bob ma rację i wciąż jestem dzieckiem, pomyślał. Cholera, nawet nie wiem, kim był Milburn Stone.

Na ulicy panowała taka cisza, że nie miał odwagi użyć klaksonu, więc przeszedł na drugą stronę i stanął obok Ellisa przed wystawą Kącika Książek.

– Wyprostowałeś to? – zapytał doktor Bob.

– Nie bardzo. Ostrzegła mnie, żebym zostawił jej żonę w spokoju.

Doktor Bob odwrócił się do niego.

– Więc proponuję, żebyś tak zrobił.

Scott odwiózł go do domu. Na szczęście po drodze Ellis nie namawiał go, żeby się przebadał w szpitalu ogólnym Massachusetts, w klinice Mayo, w klinice Cleveland albo w NASA. Zamiast tego, kiedy wysiadł, podziękował Scottowi za interesujący wieczór i poprosił, żeby pozostali w kontakcie.

– Oczywiście – zapewnił Scott. – Teraz poniekąd siedzimy w tym razem.

– Skoro tak, to może wpadniesz do mnie, na przykład w niedzielę. Myra jeszcze nie wróci i możemy obejrzeć mecz na górze zamiast w mojej nędznej namiastce pokoju telewizyjnego. I chciałbym zrobić kilka pomiarów. Zacząć prowadzić rejestr. Zgodzisz się na tyle?

– Tak, na futbol, nie na pomiary – odparł Scott. – Przynajmniej na razie. Okay?

– Akceptuję twoją decyzję – mruknął doktor Bob. – To naprawdę była dobra kolacja. Wcale mi nie brakowało mięsa.

– Mnie też – zapewnił Scott, ale nie mówił całej prawdy.

Po powrocie do domu zrobił sobie kanapkę z salami i ciemną musztardą. Potem rozebrał się i stanął na wadze. Nie zgodził się na badania, bo wiedział, że doktor Bob będzie również chciał go zważyć za każdym razem, kiedy będzie sprawdzał twardość jego mięśni, i miał przeczucie – czy raczej głęboko zakorzenioną fizyczną pewność – które teraz okazało się słuszne. Rano ważył trochę ponad

dziewięćdziesiąt jeden kilogramów. Po obfitej kolacji i kalorycznej przekąsce zszedł do dziewięćdziesięciu.

Proces przyspieszał.

3

Zakład

Koniec października w Castle Rock był wspaniały, codziennie bezchmurne błękitne niebo i wysokie temperatury. Postępowa polityczna mniejszość mówiła o globalnym ociepleniu; bardziej konserwatywna większość nazywała to wyjątkowo pięknym babim latem, po którym szybko nastąpi typowa dla Maine zima; wszyscy się cieszyli. Na gankach pojawiły się dynie, w oknach dyndały szkielety i czarne koty; na apelu w szkole podstawowej sumiennie ostrzegano dzieciaki, które będą zbierać słodycze, żeby w ten wielki wieczór nie schodziły na jezdnię i przyjmowały tylko smakołyki w opakowaniach. Szkoła średnia zorganizowała doroczny halloweenowy bal kostiumowy w sali gimnastycznej, z okazji którego miejscowa kapela garażowa, Big Top, przemianowała się na Pennywise i Klauni.

Po kolacji z Ellisem Scott przez dwa tygodnie nadal tracił na wadze w powoli wzrastającym tempie. Zszedł do osiemdziesięciu dwóch kilogramów, w sumie stracił prawie trzydzieści, ale nadal czuł się świetnie, wspaniale, jak młody bóg. Po południu w Halloween pojechał do nowego pasażu handlowego w Castle Rock i kupił więcej halloweenowych słodyczy, niż prawdopodobnie będzie potrzebował. Obecnie mieszkańcy View nie mieli tylu gości w kostiumach co dawniej (przed zawaleniem się Schodów Samobójców kilka lat wcześniej), ale czego nie wezmą mali żebracy, zje sam. Jego obecny

stan, oprócz zastrzyku dodatkowej energii, miał również tę zaletę, że pozwalał mu jeść ile wlezie i nie tyć. Takie ilości tłuszczów mogły całkiem rozwalić mu cholesterol, ale jakoś w to wątpił. Nigdy w życiu nie był w lepszej formie, pomimo zdradzieckiej opony zwisającej nad paskiem, a nastrój miał tak dobry jak w czasach, kiedy jego zaloty do Nory Kenner były w pełnym rozkwicie.

Na domiar wszystkiego klienci od domów towarowych byli zachwyceni pracą Scotta, przekonani (mylnie, obawiał się), że stworzone przez niego witryny internetowe unowocześnią ich tradycyjny biznes. Niedawno otrzymał czek na 582 674,50 dolara. Sfotografował go, zanim zrealizował go w banku. Siedział sobie w małym miasteczku w Maine, pracował w domu i był na najlepszej drodze do bogactwa.

Widział Deirdre i Missy tylko dwa razy, z daleka. Biegały w parku, z Dee i Dum na długich smyczach; psy nie wyglądały na zadowolone.

Scott wrócił do domu z zakupów, wszedł na swój podjazd i skręcił w stronę wiązu rosnącego na frontowym trawniku. Liście szeleściły lekko; pożółkły, ale przy tak ciepłej pogodzie prawie nie opadały. Najniższa gałąź znajdowała się prawie dwa metry nad głową Scotta i wyglądała zachęcająco. Upuścił torbę ze słodyczami, uniósł ramiona, ugiął kolana i podskoczył. Złapał gałąź z łatwością, o czym przed rokiem nie mógłby nawet pomarzyć. Mięśnie nie zanikły; nadal działały tak, jakby podtrzymywały mężczyznę ważącego sto osiem kilo. Przypomniał mu się stary program telewizyjny, w którym pokazywano astronautów poruszających się po Księżycu ogromniastymi skokami.

Opadł na trawnik, podniósł torbę i podszedł do schodów prowadzących na ganek. Zamiast po nich wejść, znowu ugiął kolana i wskoczył aż na podest.

Łatwizna.

Włożył słodycze do miski przy frontowych drzwiach i poszedł do gabinetu. Włączył komputer, ale nie otworzył żadnego z roboczych plików rozrzuconych po pulpicie. Zamiast tego otworzył kalendarz i wywołał następny rok. Daty były czarne, oprócz zaznaczonych na czerwono świąt i jednego dnia: trzeciego maja. Notatka, również czerwona, składała się z pojedynczego słowa: ZERO. Kiedy ją skasował, trzeci maja znowu zrobił się czarny. Wybrał trzydziesty pierwszy marca i wpisał tę datę w okienko. Teraz oceniał, że w tym dniu straci całą wagę, chyba że proces dalej będzie zwiększał tempo. Co było możliwe. W międzyczasie jednak Scott zamierzał cieszyć się życiem. Czuł, że jest to sobie winien. Ostatecznie ilu śmiertelnie chorych może powiedzieć, że czują się doskonale? Czasami przypominał sobie powiedzenie, które Nora przyniosła do domu ze swoich spotkań AA: „Przeszłość to historia, przyszłość to tajemnica”.

Całkiem dobrze pasowało do jego obecnej sytuacji.

Pierwsi przebierańcy zapukali do jego drzwi około czwartej, a ostatni tuż po zachodzie słońca. Były duchy i gobliny, superbohaterowie i szturmowcy Imperium. Jeden dzieciak przebrał się śmiesznie za niebiesko-białą skrzynkę pocztową, z oczami wyglądającymi przez szparę na listy. Scott dawał każdemu po dwa minibatoniki, ale skrzynka pocztowa dostała trzy, bo była najlepsza. Młodszym dzieciom towarzyszyli rodzice. Spóźnialscy, trochę starsi, przychodzili sami.

Ostatnia para, zestaw chłopiec–dziewczynka – zapewne Jaś i Małgosia – zjawiała się tuż po wpół do siódmej. Scott wręczył obojgu po dwa batoniki, żeby nic nie spsocili (najwyżej dziesięcioletni, nie wyglądali na specjalnie psotnych), i zapytał, czy widzieli w sąsiedztwie innych przebierańców.

– Nie – odparł chłopiec. – Chyba jesteśmy ostatni. – Szturchnął łokciem dziewczynkę. – Bo ona ciągle chciała sobie układać włosy.



– Co dostaliście tam? – zapytał Scott, wskazując dom, gdzie mieszkały McComb i Donaldson. – Coś ładnego?

Właśnie przyszło mu do głowy, że Missy mogła przygotować jakieś specjalne halloweenowe łakocie, marchewkowe paluszki w czekoladzie czy coś w tym guście.

Dziewczynka szeroko otworzyła oczy.

– Mama nam nie pozwoliła do nich iść, bo to nie są miłe panie.

– To lesby – dodał chłopiec. – Tata tak mówi.

– Aha – powiedział Scott. – Lesby. Rozumiem. Wracajcie bezpiecznie do domu, dzieciaki. Nie wchodźcie na jezdnię.

Odeszli, dźwigając torby ze słodkimi łupami. Scott zamknął drzwi i zajrzał do miski z batonikami. Wciąż w połowie pełna. Oceniał, że miał szesnaścioro, może osiemnaścioro gości. Zastanawiał się, ilu miały McComb i Donaldson. Zastanawiał się, czy ktoś w ogóle je odwiedził.

Wszedł do salonu, włączył wiadomości, obejrzał kawałek radosnego reportażu o dzieciach zbierających słodycze w Portlandzie i wyłączył telewizor.

Niemile panie, pomyślał. Lesby. Tata tak mówi.

Wtedy wpadł na pomysł. Czasami w ten sposób pojawiały się u niego najfajniejsze pomysły: niemal całkowicie uformowane, wymagające tylko kilku drobnych poprawek i ogólnego wygładzenia. Oczywiście fajne pomysły to niekoniecznie dobre pomysły, ale ten zamierzał zrealizować i sam się przekonać.

– Zrób sobie przyjemność – powiedział i roześmiał się. – Zrób sobie przyjemność, zanim wiatr cię porwie. Czemu nie? Czemu nie, do cholery?

Następnego ranka o dziewiątej Scott wszedł do Wydziału Rekreacji Castle Rock z pięciodolarowym banknotem w ręce. Za stołem, gdzie przyjmowano zapisy na dwunastokilometrowy Bieg Indyka, siedzieli Mike Badalamente i Ronnie Briggs, facet od robót publicznych, którego Scott ostatnio widział w Patsy's. Za nimi w sali gimnastycznej poranna liga rozgrywała mecz koszykówki – koszulki przeciwko gołym torsom.

– Hej, Scotty! – zawołał Ronnie. – Jak leci, stary?

– W porządku – odparł Scott. – A u ciebie?

– Świetnie! – wykrzyknął Ronnie. – Lepiej być nie może, chociaż obcieli mi godziny w RP. Nie widziałem cię ostatnio na czwartkowym pokerze.

– Ciężko pracuję, Ronnie. Duży projekt.

– Wiesz, co do tego zajścia w Patsy's... – Ronnie zrobił zakłopotaną minę. – Stary, przepraszam za to. Trevor Yount ma niewyparzoną gębę i jak się rozkręci, nikt się nie pali, żeby go uciszyć. Facet może ci rozkwasić nos.

– W porządku, było, minęło. Hej, Mike, mogę się zapisać na bieg?

– Jasne. Im więcej, tym weselej. Możesz dotrzymać mi towarzystwa na końcu stawki, razem z dziećmi, staruszkami i łamagami bez

kondycji. W tym roku mamy nawet ślepcę. Mówi, że pobiegnie ze swoim psem przewodnikiem.

Ronnie przechylił się przez stół i poklepał Scotta po wypukłości z przodu.

– I nie martw się tym, Scotty, mój chłopcze, mają sanitariusza co trzy kilometry i dwóch na mecie. Jeśli maszynka ci wysiądzie, oni ją odpalą.

– Dobrze wiedzieć.

Scott zapłacił pięć dolarów i podpisał oświadczenie, że zrzeka się wszelkich roszczeń wobec miasta Castle Rock z tytułu wypadków czy problemów zdrowotnych, na jakie się naraża podczas dwunastokilometrowego biegu. Ronnie nabazgrał pokwitowanie, Mike wręczył mu mapę trasy oraz plakietkę z numerem.

– Po prostu przed biegiem zdejmij spodnią warstwę i przyklep numer do koszulki. Podaj swoje nazwisko jednemu z organizatorów na starcie, żeby cię odhaczył, i możesz ruszać.

Scott zobaczył, że przydzielono mu numer 371, a do wielkiego biegu zostało jeszcze ponad trzy tygodnie. Zagwizdał.

– Dobrze wam się zaczyna, zwłaszcza jeśli to wszystko są opłaty od dorosłych.

– Nie wszystkie, ale większość – odparł Mike. – A jeśli będzie tak jak w zeszłym roku, w końcu pobiegnie osiemset czy dziewięćset osób. Zjeżdżają się z całej Nowej Anglii. Bóg wie dlaczego, ale nasz mały, skromny Bieg Indyka w jakiś sposób stał się wielkim wydarzeniem. Moje dzieciaki mówią, że wieść o nim rozprzestrzenia się wirusowo.

– Sceneria – oświadczył Ronnie. – To ich przyciąga. No i wzgórza, zwłaszcza Hunter's. I oczywiście zwycięzca może zapalić lampki na choince na miejskim placu.

– Wydział Rekreacji ma wszystkie koncesje na trasie – dodał Mike. – Moim zdaniem to jest najpiękniejsze. Sprzedamy mnóstwo hot

dogów, popcornu, napojów gazowanych i gorącej czekolady.

– Ale bez piwa – stwierdził Ronnie ze smutkiem. – W tym roku głosowali przeciwko. Tak jak z kasynem.

I lesbami, pomyślał Scott. Miasto głosowało też przeciwko lesbom. Tyle że nie przy urnie wyborczej. Miejskie motto powinno brzmieć: „Jeśli nie możesz siedzieć cicho, to się wynoś”.

– Czy Deirdre McComb nadal zamierza pobiec? – zapytał.

– Och, pewnie – odparł Mike. – I dostała swój dawny numer. Dziewiętnaście. Zachowaliśmy go specjalnie dla niej.

Scott zjadł świąteczny obiad z Bobem i Myrą Ellisami oraz dwojgiem z ich pięciorga dorosłych dzieci – tymi, które mieszkały w pobliżu. Wziął dokładki wszystkiego, co było na stole, a potem włączył się do ożywionej zabawy w berka z dziećmi na dużym tylnym podwórzu Ellisów.

– On dostanie zawału, jak tak będzie biegał po tym, co zjadł – zaniepokoiła się Myra.

– Wątpię – odparł doktor Bob. – Trenuje przed jutrzejszym wielkim wyścigiem.

– Jeśli spróbuje czegoś więcej niż truchcika przez te dwanaście kilometrów, na pewno dostanie zawału – stwierdziła autorytatywnie Myra, patrząc, jak Scott goni jedno z jej roześmianych wnucząt. – Słowo daję, mężczyźni w średnim wieku tracą resztki rozumu.

Scott wrócił do domu zmęczony i zadowolony, myśląc już o Biegu Indyka następnego dnia. Zanim poszedł spać, stanął na wadze i bez większego zdziwienia zobaczył, że zszedł do sześćdziesięciu czterech kilogramów. Na razie nie tracił jeszcze kilograma dziennie, nie całkiem, ale to przyjdzie. Włączył komputer i przesunął Dzień Zero na piętnastego marca. Bał się – tylko głupiec by się nie bał – ale był również ciekawy. I coś jeszcze. Szczęśliwy? Czyżby? Tak. Pewnie to wariactwo, ale zdecydowanie tak. Z pewnością czuł się jakoś

wyróżniony. Doktor Bob również uznałby to za wariactwo, ale Scott uważał, że to rozsądne. Po co się martwić czymś, czego nie możesz zmienić? Czemu tego nie przyjąć z dobrodziejstwem inwentarza?

Położył się do łóżka i spał, dopóki nie zadzwonił budzik.

W połowie listopada nadeszła fala chłódów i temperatura spadła dostatecznie nisko, żeby szron pokrył trawniki i pola, ale piątek po Święcie Dziękczynienia wstał pochmurny i ciepły jak na tę porę roku. Charlie Lopresti na Kanale 13 zapowiadał na popołudnie deszcz, nawet ulewny, ale to nie uszczupliło liczby widzów ani zawodników w tym wielkim dniu w Castle Rock.

Scott włożył stare szorty do biegania i stawił się w budynku Rekreacji za piętnaście ósma, ponad godzinę przed wyznaczonym początkiem biegu. Został już tam całe tłumy, większość w zapinanych na suwak bluzach z kapturem (które zostaną zrzucone w różnych miejscach na trasie, kiedy ciała się rozgrzeją). Najwięcej osób czekało przed rejestracją z lewej strony, gdzie napisy głosiły: ZAWODNICY SPOZA MIASTA. Z prawej strony, pod napisem MIESZKAŃCY CASTLE ROCK, stała znacznie krótsza pojedyncza kolejka. Scott zdjął osłonę ze spodu swojego numeru i przylepił go do koszulki, nad wypukłością fałszywego brzucha. W pobliżu szkolny zespół stroił instrumenty.

Patsy Dinero z jadłodajni Patsy's zarejestrowała go i skierowała na drugą stronę budynku, gdzie zaczynała się View Drive i skąd startował wyścig.

– Jako miejscowy możesz się wkręcić do czołówki, ale generalnie uważa się, że tak nie wypada – powiedziała Patsy. – Powinieneś

znaleźć trzysetki i z nimi się trzymać. – Popatrzyła na jego talię. – Chociaż szybko zostaniesz z tyłu z dzieciakami.

– Auć – jęknął Scott.

Uśmiechnęła się.

– Prawda boli, co? Te wszystkie burgery z bekonem i omlety serowe odbijają się na kondycji. Pamiętaj o tym, jeśli poczujesz ucisk w klatce piersiowej.

Scott dołączył do coraz większej grupy miejscowych, którzy wcześniej się zarejestrowali. Po drodze przestudiował mapkę. Trasa wyścigu tworzyła nieregularną pętlę. Pierwsze trzy kilometry po View Drive do szosy 117. Na półmetku kryty most na strumieniu Bowie. Potem dalej szosą 119, która po przekroczeniu granicy miasta zmieniała się w Trakt Bannermana. Na dziesiątym kilometrze znajdowało się Hunter's Hill, znane również jako Zawałowiec. Wzgórze było tak strome, że w zimie dzieciaki często zjeżdżały z niego na sankach, nabierając zastraszającej szybkości, ale za śnieżnymi wałami nic im nie groziło. Ostatnie dwa kilometry prowadziły po Main Street, wzdłuż której będą stały wiwatujące tłumy, nie mówiąc o kamerzystach ze wszystkich trzech stacji telewizyjnych z Portlandu.

Uczestnicy kręcili się w grupkach, śmiali się i rozmawiali, popijali gorącą kawę albo kakao. To znaczy wszyscy oprócz Deirdre McComb, która wydawała się nieprawdopodobnie wysoka i piękna w błękitnych szortach i śnieżnobiałych adidasach. Przylepiła swój numer – 19 – nie pośrodku jaskrawoczerwonej koszulki, tylko wysoko z lewej strony, żeby nie zasłaniać nadruku na froncie. Pod rysunkiem empanady widniał napis: HOLY FRIJOLE MAIN STREET 142.

Reklamowanie restauracji miało sens... ale tylko jeśli uważała, że to pomoże. Scott przypuszczał, że teraz już nie o to jej chodzi. Z pewnością wiedziała, że „jej” plakaty zastąpiono mniej kontrowersyjnymi, w przeciwieństwie do faceta, który pobiegnie ze

swoim psem przewodnikiem (Scott widział go udzielającego wywiadu przy linii startowej), nie była ślepa. Nie zdziwiło go, że po prostu nie machnęła ręką i nie wycofała się ze wszystkiego; dobrze wiedział, dlaczego wciąż się nie poddała. Chciała się na nich odegrać.

Oczywiście, pomyślał. Chciała zwyciężyć ich wszystkich – mężczyzn, kobiety, dzieci i ślepcę z psem. Chciała, żeby całe miasto patrzyło, jak lesba – i to żonata lesba – włącza lampki na ich choince.

Na pewno wiedziała, że restauracja jest spalona, i może się cieszyła, może już nie mogła się doczekać, żeby się wynieść w cholere z Castle Rock, ale tak, chciała się na nich odegrać, zanim wyjedzie z żoną, i zostawić im to wspomnienie. Nie musiałyby nawet wygłaszać przemówienia, tylko uśmiechnąć się tym uśmieszkiem wyższości. Tym, który mówił: „Kij wam w oko, wy prowincjonalne, zadufane dupki. Interesująca dyskusja”.

Rozgrzewała się, podnosząc najpierw jedną nogę do tyłu i przytrzymując za kostkę, potem drugą. Scott zatrzymał się przy stoisku z napojami (DLA ZAWODNIKÓW ZA DARMO, JEDEN NA OSOBE) i wziął dwie kawy, zapłaciwszy dolara za dodatkową. Potem podszedł do Deirdre McComb. Nie miał wobec niej żadnych zamiarów, żadnych romansowych zapędów, ale był mężczyzną i nie mógł nie podziwiać jej smukłej figury, kiedy rozciągała się i obracała, przez cały czas wpatrując się uparcie w niebo, gdzie były tylko szarobure chmury.

Skupia się, pomyślał. Przygotowuje. Może nie do swojego ostatniego wyścigu, ale do ostatniego, który naprawdę coś dla niej znaczy.

– Cześć – powiedział. – To znowu ja. Ten utrapieniec.

Opuściła nogę i spojrzała na niego. Uśmieszek znowu się pojawił, przewidywalny jak wschód słońca. To była jej broń. Może za nim krył się ktoś gniewny i urażony, ale nie zamierzała tego pokazywać

nikomu na świecie. Najwyżej Missy. Która tego ranka świeciła nieobecnością.

– Ależ to pan Carey – powiedziała Deirdre. – I z numerem. Oraz brzuszkiem, chyba trochę większym.

– Pochlebstwem nic pani nie wskóra – oświadczył. – Zresztą, hej, może tam pod spodem jest poduszka, którą noszę dla zmyłki. – Podsunął jej jeden kubek. – Napije się pani kawy?

– Nie. O szóstej rano zjadłam owsiankę i pół grejpfruta. Nic więcej nie wezmę do ust aż do półmetka. Wtedy zatrzymam się przy którymś stoisku i wypiję sok żurawinowy. A teraz przepraszam, chciałabym skończyć rozciąganie i medytację.

– Niech mi pani poświęci chwilę – poprosił Scott. – Wcale nie przyszedłem zaproponować pani kawy, bo wiedziałem, że pani odmówi. Przyszedłem zaproponować pani zakład.

Chwyła już lewą ręką prawą kostkę i zaczynała unosić nogę do tyłu. Teraz opuściła ją i popatrzyła na niego, jakby mu wyrósł róg na czole.

– Na litość boską, o czym pan mówi? I ile razy mam panu powtarzać, że pańskie próby... podlizywania się nie są mile widziane?

– Jest wielka różnica pomiędzy podlizywaniem się a okazywaniem życzliwości, jak chyba sama pani wie. Albo wiedziałyby pani, gdyby ciągle nie przyjmowała obronnej postawy.

– Ja nie...

– Ale z pewnością ma pani powody, żeby się bronić, i nie kłóćmy się o słowa. Zakład, który proponuję, jest prosty. Jeśli pani dzisiaj wygra, raz na zawsze przestanę się pani naprzykrzać, co dotyczy również skarg na wasze psy. Możecie z nimi biegać po View Drive i jeśli nasrają mi na trawnik, sam to posprzątam bez słowa protestu.

Na jej twarzy malowało się niedowierzanie.

– Jeśli wygram? Jeśli?!

Zignorował to.

– Natomiast jeśli ja wygram, pani i Missy musicie przyjść do mnie na kolację. Wegetariańską kolację. Jestem niezłym kucharzem, kiedy się postaram. Usiądziemy, wypijemy trochę wina i porozmawiamy. Przełamiemy lody albo przynajmniej spróbujemy. Nie musimy zostać kumplami od serca, tego nie oczekuję, bardzo trudno jest przełamać ciasnotę poglądów...

– Nie mam ciasnych poglądów!

– Ale może zostaniemy prawdziwymi sąsiadami. Ja będę mógł od was pożyczyć szklankę cukru, wy ode mnie kostkę masła, takie rzeczy. Jeśli żadne z nas nie wygra, mamy remis. Sytuacja pozostaje bez zmian.

Dopóki nie zamkniecie restauracji i nie wyniesiecie się z miasta, dodał w myśli.

– Może się upewnię, czy dobrze usłyszałam. Zakłada się pan, że dzisiaj mnie prześcignie? Bądźmy szczerzy, panie Carey. Pańskie ciało mówi mi, że jest pan typowym rozleniwionym, przekarmionym białym Amerykaninem. Jeśli zacznie pan się forsować, dostanie pan skurczów w nogach, przepukliny kręgosłupa albo ataku serca. Nie pobije mnie pan dzisiaj. Nikt mnie dzisiaj nie pobije. Teraz proszę odejść, żebym mogła dokończyć przygotowania.

– Okay – powiedział Scott. – Rozumiem. Boi się pani przyjąć zakład. Tak myślałem.

Podnosiła już drugą nogę, ale teraz ją opuściła.

– Słodki Jezu w morelach. Zgoda. Zakład stoi. Teraz proszę mnie zostawić.

Scott z uśmiechem wyciągnął rękę.

– Musimy sobie podać ręce. Wtedy, jeśli pani się wycofa, będę mógł rzucić pani w twarz, że jest pani szachrajką, a pani będzie musiała to przełknąć.

Prychnęła, ale uścisnęła jego rękę, mocno i krótko. I przez chwilę – przez jeden mały ułamek sekundy – zobaczył cień prawdziwego uśmiechu. Tylko ślad, ale pomyślał, że ona ładnie się uśmiecha, kiedy naprawdę sobie na to pozwoli.

– Świetnie – powiedział, po czym dodał: – Interesująca dyskusja.

Ruszył z powrotem do uczestników z numerami od trzystu do czterystu.

– Panie Carey.

Odwrócił się.

– Dlaczego to dla pana takie ważne? Czy dlatego, że jestem... jesteśmy... jakimś zagrożeniem dla pana męskości?

Nie, to dlatego, że w przyszłym roku umrę, pomyślał, a przedtem chciałbym naprawić chociaż jedną rzecz. To nie będzie moje małżeństwo, ono już umarło, ani witryny domu towarowego, bo ci goście nie rozumieją, że ich sklepy są jak wytwórnie końskich uprzęży na początku epoki automobili.

Ale nie powiedział tego. Ona by nie zrozumiała. Jak miała zrozumieć, skoro sam siebie w pełni nie rozumiał?

– Po prostu jest ważne – powiedział wreszcie.

Z tym ją zostawił.

4

Bieg Indyka

Dziesięć minut po dziewiątej, tylko trochę spóźniony, burmistrz Dusty Coughlin wyszedł przed grupę ponad ośmiuset zawodników, rozciągającą się prawie na czterysta metrów. W jednej ręce trzymał pistolet startowy, a w drugiej megafon na baterie. Niskie numery, włącznie z Deirdre McComb, stały z przodu. Wśród trzechsetek Scotta otaczali mężczyźni i kobiety, którzy potrząsali ramionami, brali głębokie oddechy i przeżuwali ostatnie kęsy wysokoenergetycznych batonów. Wiele tych osób znał. Kobieta po jego lewej stronie, poprawiająca zieloną opaskę na głowie, prowadziła miejscowy sklep meblowy.

– Powodzenia, Milly – powiedział do niej.

Uśmiechnęła się szeroko i uniosła kciuki.

– Nawzajem.

Coughlin podniósł megafon.

– WITAMY NA CZTERDZIESTYM PIĄTYM DOROCZNYM BIEGU
INDYKA! GOTOWI?



Zawodnicy wydali potwierdzający ryk. Ktoś ze szkolnej kapeli odegrał fanfarę na trąbce.

– NO TO W PORZĄDKU! NA MIEJSCA... GOTOWI...

Burmistrz, szczerząc zęby w szerokim politycznym uśmiechu, podniósł pistolet startowy i nacisnął spust. Zdawało się, że huk odbił się echem od nisko wiszących chmur.

– START!

Ci z przodu ruszyli gładko. Deirdre, w jaskrawoczerwonej koszulce, z daleka rzucała się w oczy. Reszta zawodników stała ciasno stłoczona i ich start nie przebiegał tak gładko. Kilka osób upadło i trzeba było je podnosić. Milly Jacobs została popchnięta do przodu, na dwójkę młodych mężczyzn w kolarskich spodenkach i czapkach odwróconych daszkami do tyłu. Scott chwycił ją za ramię i podtrzymał.

– Dzięki – rzuciła. – To mój czwarty raz i zawsze tak jest na starcie. Jak wtedy, kiedy otwierają drzwi na koncercie rockowym.

Faceci w kolarskich spodenkach dostrzegli lukę, śmignęli obok Mike'a Badalamente i trzech pań, które rozmawiały i śmiały się w biegu, i zniknęli, biegnąc ramię w ramię.

Scott zrównał się z Mikiem i pomachał mu. Mike zasalutował, potem poklepał się po lewej stronie klatki piersiowej i przeżegnał się.

Wszyscy myślą, że dostanę ataku serca, pomyślał Scott. Skoro ta jakaś groteskowa opatrność uznała, że będzie zabawnie, jeśli stracę wagę, to mogłaby przynajmniej trochę mnie wymodelować – ale nie.

Milly Jacobs – od której Nora kiedyś kupiła komplet do jadalni – obdarzyła go przelotnym uśmiechem.

– To jest fajne przez jakieś pierwsze pół godziny. Potem zaczyna się męka. Ósmy kilometr to piekło. Jeśli wytrzymasz do tego miejsca, łapiesz drugi oddech. Czasami.

– Czasami, hę? – powtórzył Scott.

– Właśnie. Liczę na to w tym roku. Chciałabym przebiec całą trasę. Tylko raz mi się udało. Miło cię widzieć, Scott.

Po tych słowach przyspieszyła i wysforowała się.

Zanim Scott minął swój dom na View Drive, stawka rozciągnęła się i miał więcej miejsca dla siebie. Biegł spokojnym, równym truchtem. Wiedział, że ten pierwszy kilometr nie jest miarodajnym sprawdzianem jego kondycji, ponieważ biegło się z górki, ale na razie Milly miała rację – to było fajne. Oddychał swobodnie i czuł się dobrze. W tej chwili to wystarczało.

Minął kilku zawodników, lecz niewielu. Więcej go wyprzedziło, niektórzy z numerami pięćsetnymi, niektórzy z sześćsetnymi i jeden demon prędkości z przyklepionym do koszulki numerem 721. Ten komiczny facet miał wiatraczek przyczepiony do czapki. Scott nie spieszył się specjalnie, jeszcze nie. Widział Deirdre na każdym prostym odcinku, jakieś sześćset metrów z przodu. Jej czerwona koszulka i błękitne szorty wyróżniały się w tłumie. Biegła spokojnie. Wyprzedzało ją co najmniej dziesięciu zawodników, może nawet dwudziestu, co nie zdziwiło Scotta. To nie były jej pierwsze zawody i w przeciwieństwie do większości amatorów miała starannie przemyślany plan. Przypuszczał, że pozwoli innym narzucać tempo aż do ósmego czy dziewiątego kilometra, a potem zacznie ich mijać jednego po drugim i obejmie prowadzenie dopiero na Hunter's Hill. Może nawet zaczeka z finiszem, aż dotrą na przedmieścia, żeby podgrzać atmosferę, ale raczej w to wątpił. Chciała, żeby to było pokazowe zwycięstwo.

Czuł lekkość w stopach i siłę w nogach i powstrzymywał się, żeby nie przyspieszyć. Po prostu nie trać z oczu czerwonej koszulki, powiedział sobie. Ona wie, co robi, więc pozwól jej się prowadzić.

Na skrzyżowaniu View Drive i szosy 117 Scott minął mały pomarańczowy marker: 3 km. Przed sobą miał facetów w kolarskich

spodenkach, pedałujących po obu stronach żółtej linii środkowej. Minęli parę nastolatków i Scott zrobił to samo. Nastolatki wydawały się w dobrej kondycji, ale już ciężko dyszały. Kiedy zostawił ich z tyłu, usłyszał, jak jeden z nich sapie:

– Pozwolimy się wyprzedzić jakiemuś grubemu staruchowi?

Nastolatki przyspieszyły i wyminęły Scotta po obu stronach, dysząc jeszcze głośniej.

– Nara, ślamazara – wysapał jeden z nich.

– Nie krępujcie się – odparł Scott z uśmiechem.

Biegł długimi krokami, bez trudu połykając przestrzeń. Oddech nadal w porządku, tętno tak samo, i czemu nie? Ważył o pięćdziesiąt kilo mniej, niż wyglądał, i to była tylko połowa jego przewagi. Druga połowa to mięśnie stworzone do dźwigania stu ośmiu kilogramów.

Szosa 117 zrobiła zygzak, a potem biegła prosto wzdłuż strumienia Bowie, bulgoczącego i szemrzącego w płytkim kamienistym korycie. Scott pomyślał, że szum wody nigdy nie brzmiał lepiej, wilgotne powietrze, które wciągał głęboko w płuca, nigdy nie smakowało lepiej, wysokie sosny stłoczone po drugiej stronie drogi nigdy nie wyglądały lepiej. Czuł ich zapach, cierpki i ostry, i jakby zielony. Każdy oddech wydawał się głębszy od poprzedniego i Scott ciągle musiał się powstrzymywać, by nie przyspieszyć.

Tak się cieszę, że dzisiaj żyję, pomyślał.

Przed krytym mostem na strumieniu kolejny pomarańczowy marker ogłaszał: 6 km. Za nim widniał wielki napis: POŁOWA DROGI! Tupot stóp na moście brzmiał – przynajmniej dla Scotta – jak najpiękniejsze solo perkusyjne Gene'a Krupy. W górze spłoszone jaskółki śmigają tam i z powrotem pod dachem mostu. Jedna dosłownie wleciała Scottowi prosto w twarz; gdy trzepoczące skrzydło musnęło mu czoło, roześmiał się głośno.

Po drugiej stronie jeden z facetów w kolarskich spodenkach siedział na barierce, łapiąc oddech i rozmasowując skurcz w łydce. Nie podniósł wzroku, kiedy mijał go Scott i inni zawodnicy.

Na skrzyżowaniu szos 117 i 119 biegacze skupili się wokół stołu z napojami. Łapczywie pili wodę i gatorade z papierowych kubków, zanim pobiegli dalej. Osiem czy dziewięć osób, które wysiadły po pierwszych sześciu kilometrach, leżało rozciągniętych na trawie. Scott z przyjemnością zobaczył wśród nich Trevora Younta, faceta z byczym karkiem z Robót Publicznych, z którym się starł w Patsy's.

Minął znak z napisem GRANICA MIASTA CASTLE ROCK, gdzie szosa 119 zmieniała się w Trakt Bannermana, nazwany na cześć miejskiego szeryfa najdłużej pełniącego swój urząd, pechowego gościa, którego spotkał smutny koniec w jednym z miejskich zaułków. Nadszedł czas, żeby zwiększyć tempo. Za pomarańczowym markerem 8 km Scott wrzucił drugi bieg. Żaden problem. Chłodne powietrze rozkosznie opływało jego rozgrzaną skórę, delikatne jak jedwab, serce równo pracowało w piersi – ten niewielki wytrzymały silniczek. Teraz po obu stronach drogi stały domy, ludzie na trawnikach trzymali transparenty i robili zdjęcia.

A oto Milly Jacobs, wciąż biegnie, ale zaczyna zwalniać, przepocona opaska na głowie przybrała ciemniejszy odcień zieleni.

– Jak tam drugi oddech, Milly? Złapałaś go?

Obejrzała się na niego z wyraźnym niedowierzaniem.

– Dobry Boże, nie wierzę... że to ty – wydyszała. – Myślałam, że... zostawiłam cię z tyłu.

– Znalazłem trochę dodatkowych sił – odparł Scott. – Nie poddawaj się teraz, Milly, to najlepsza część.

Potem została za nim.

Droga zaczęła się wspinać na szereg niskich, ale coraz wyższych wzgórz i Scott mijał więcej zawodników – tych, którzy zrezygnowali,

i tych, którzy wciąż parli do przodu. Do tych drugich należała para nastolatków, którzy wcześniej go wyprzedzili, nie mogąc ścierpieć ani przez chwilę, żeby ich prześcignął podstarzały grubas w dziadowskich tenisówkach i starych szortach. Spojrzeli na niego z identycznym wyrazem zdumienia na twarzach. Scott uśmiechnął się miło i zawołał:

– Nara, ślamazara!

Jeden z nich pokazał mu palec. Scott posłał mu pocałunek, a potem mogli tylko oglądać pięty jego dziadowskich tenisówek.

Kiedy Scott rozpoczął dziewiąty kilometr, po niebie z zachodu na wschód przetoczył się długi łoskot gromu.

Niedobrze, pomyślał. Listopadowy grzmot może ujdzie na sucho w Luizjanie, ale nie w Maine.

Na łuku drogi zboczył w lewo, żeby się zrównać z jakimś chudym jak szczapa dziadkiem, który biegł z zaciśniętymi pięściami i głową odrzuconą do tyłu. Jego koszulka bez rękawów odsłaniała ramiona białe jak brzuch ryby, ozdobione wyblakłymi tatuażami. Na twarzy miał głupawy uśmiech.

– Słyszałeś ten grzmot?

– Tak!

– Będzie lało jak skurwysyn! Co za dzień, no nie?

– A jak! – potaknął Scott ze śmiechem. – Najlepszy z najlepszych!

Potem pobiegł dalej, ale chudy staruszek zdążył jeszcze trzepnąć go porządnie w tyłek.

Droga prowadziła teraz prosto i Scott dostrzegł czerwoną koszulkę i błękitne szorty w połowie Hunter's Hill, czyli Zawałowca. Teraz widział przed McComb tylko kilku zawodników. Może inni kryli się za grzbietem wzgórza, ale wątpił w to.

Pora wrzucić wyższy bieg.

Zrobił to i znalazł się teraz wśród najlepszych biegaczy, prawdziwych chartów. Wielu z nich jednak albo zaczynało słabnąć, albo oszczędzało energię na strome podejście. Napotykał niedowierzające spojrzenia, kiedy facet w średnim wieku z brzuchem wypychającym przepoconą koszulkę najpierw lawirował między nimi, a potem zostawiał ich z tyłu.

W połowie drogi na szczyt Hunter's Hill oddech Scotta zrobił się płytki, a wciągane i wydychane powietrze nabrało posmaku rozgrzanej miedzi. Stopy już nie wydawały się lekkie, łydki płonęły. W pachwinie po lewej stronie czuł tępy ból, jakby coś sobie naciągnął. Druga połowa zbrocza jakby nie miała końca. Przypomniawszy sobie, co mówiła Milly: najpierw fajnie, potem męka, a następnie piekło. Czy przeżywał teraz mękę, czy piekło? Coś pomiędzy, zdecydował.

Nigdy nie zakładał, że pokona Deirdre McComb (choć nie wykluczał tej możliwości), ale zakładał, że skończy wyścig gdzieś w czołówce – że mięśnie stworzone do dźwigania jego wcześniejszego – większego – ciężaru wystarczą, żeby doprowadzić go do mety. Teraz, kiedy mijał dwóch zawodników, którzy się poddali – jeden siedział z pochyłą głową, drugi leżał na wznak i dyszał – zaczynał wątpić.

Może ciągle ważę za dużo, pomyślał. A może po prostu nie mam jaj. Znowu zahuczał grom.

Ponieważ szczyt wzgórza zdawał się wcale nie przybliżać, Scott spuścił wzrok na drogę. Patrzył, jak kamyczki tkwiące w asfalcie przesuwały się do tyłu niczym galaktyki w filmie science fiction. Podniósł wzrok w samą porę, żeby uniknąć zderzenia z jakąś rudowłosą, która stała okrakiem na żółtej linii, opierała ręce na kolanach i dyszała. Ominął ją o włos i pięćdziesiąt metrów dalej zobaczył szczyt wzgórza. A także jeden z tych pomarańczowych markerów: 10 km. Utkwił w nim wzrok i biegł, teraz już nie łapiąc powietrza, ale walcząc o każdy oddech i czując każde ze swoich

czterdziestu dwóch lat. Lewe kolano odezwało się bólem, pulsując synchronicznie z rwaniem w pachwinie. Pot spływał po policzkach jak gorąca woda.

Zrobisz to. Właśnie że tak. Daj z siebie wszystko.

I czemu nie, do cholery? Jeśli Dzień Zero wypadnie dzisiaj, a nie w lutym czy w marcu, niech tak będzie.

Minął marker i dotarł na szczyt wzgórza. Po prawej miał skład drewna Purdy'ego, po lewej artykuły żelazne Purdy'ego. Jeszcze dwa kilometry. W dole widział miasteczko, po obu stronach ze dwadzieścia sklepów obwieszonych chorągiewkami, kościół katolicki i kościół metodystów naprzeciwko siebie niczym dwóch świętych rewolwerowców, pochyły parking (wszystkie miejsca zajęte), zatłoczone chodniki i dwa skrzyżowania ze światłami. Za drugim znajdował się Tin Bridge, gdzie na linii mety rozciągnięto jaskrawożółtą taśmę ozdobioną wizerunkami indyków. Przed sobą Scott widział teraz tylko sześcioro czy siedmioro zawodników. Zawodniczka w czerwonej koszulce była druga i zmniejszyła dystans do prowadzącego. Deirdre wykonała swój ruch.

Nigdy jej nie dogonię, pomyślał Scott. Ma za dużą przewagę. To cholerne wzgórze mnie nie zabiło, ale nieźle osłabiło.

Potem jego płuca nagle jakby znowu się otwarły, każdy oddech docierał głębiej niż poprzedni. Tenisówki (nie oślepiająco białe adidas, tylko stare zniszczone pumy) jakby zrzuciły warstwę ołowiu, która wcześniej się na nich zebrała. Poprzednia lekkość ciała nagle powróciła. Właśnie to Milly nazywała drugim oddechem, a profesjoniści, tacy jak McComb, niewątpliwie nazywali hajem biegacza. Scott wolał to drugie określenie. Przypomniawszy sobie ten dzień na swoim podwórzu, kiedy ugiął kolana, skoczył i chwycił gałąź drzewa. Przypomniawszy sobie, jak wbiegał i zbiegał po stopniach podium dla orkiestry. Przypomniawszy sobie, jak tańczył po całej kuchni, kiedy

Stevie Wonder śpiewał *Superstition*. To było to samo. Nie drugi oddech, nawet nie haj, tylko uniesienie. Poczucie, że przekroczyłeś swoje ograniczenia i możesz sięgnąć jeszcze dalej.

Zbiegając ze wzgórza, obok Forda O’Leary’ego po jednej stronie i Zoney’s Go-Mart po drugiej, minął jednego zawodnika, potem drugiego. Zostało jeszcze czterech. Nie wiedział i nie obchodziło go, czy się gapią, kiedy śmigał obok nich. Całą uwagę skupił na czerwonej koszulce i błękitnych szortach.

Deirdre wyszła na prowadzenie. Jednocześnie w niebie znowu zagrzmiało – pistolet startowy Boga – i Scott poczuł na karku pierwszą zimną kroplę deszczu. Potem następną na ramieniu. Spuścił wzrok i zobaczył więcej kropel spadających na drogę, zostawiających ciemne plamy wielkości dziesięciocentówki. Teraz po obu stronach Main Street stali widzowie, chociaż do mety zostało jeszcze półtora kilometra i z siedemset metrów do miejsca, gdzie zaczynały się miejskie chodniki. Scott zobaczył parasole otwierające się niczym kwiaty. Były piękne. Wszystko było piękne – ciemniejące niebo, kamyki na drodze, pomarańczowy marker ogłaszający ostatni kilometr Biegu Indyka. Świat nabrał wyrazu.

Przed nim zawodnik nagle zboczył z trasy, padł na kolana i przetoczył się na plecy. Patrzył w górę na deszcz, usta miał wykrzywione z bólu. Jeszcze tylko dwóch zawodników i Deirdre.

Scott minął ostatni pomarańczowy marker. Został jeszcze kilometr. Wcześniej Scott przerzucił się z drugiego biegu na trzeci. Teraz, kiedy zaczęły się chodniki – po obu stronach wiwatujące tłumy, ludzie machający chorągiewkami z emblematem Biegu Indyka – powinien sprawdzić, czy dysponuje nadbiegiem.

Odpalaj, ty sukinsynu, pomyślał i przyspieszył.

Deszcz jakby zawahał się na chwilę – dostatecznie długą, by Scott pomyślał, że powstrzyma się do zakończenia biegu – a potem lunął na

całego, przeganiając widzów pod markizy i daszki nad drzwiami. Widoczność spadła do dwudziestu procent, potem do dziesięciu, wreszcie prawie do zera. Scott stwierdził, że zimny deszcz to więcej niż przyjemność, to wręcz błogosławieństwo.

Minął jednego zawodnika, po chwili drugiego. Ten drugi wcześniej prowadził i to jego wyprzedziła Deirdre. Teraz zwolnił i chlupiąc, szedł przez kałuże, ze spuszczoną głową, z rękami na biodrach, z przemoczoną koszulką oblepiającą ciało.

Przez szarą kurtynę deszczu Scott zobaczył przed sobą czerwoną koszulkę. Czuł, że zostało mu akurat tyle paliwa w baku, żeby ją dogonić, ale wyścig mógł się skończyć wcześniej. Światła uliczne na końcu Main Street znikły. Znikł również Tin Bridge i żółta taśma na mecie. Teraz zostali tylko Scott i McComb, oboje biegnący na ślepo przez ulewę, i Scott nigdy w życiu nie był taki szczęśliwy. Tylko że szczęście było zbyt łagodnym określeniem. Tutaj, kiedy osiągał najdalsze granice swojej wytrzymałości, wkraczał w nowy świat.

Wszystko do tego prowadzi, pomyślał. Do tego uniesienia. Jeśli takie jest umieranie, każdy człowiek powinien odchodzić z radością.

Dotarł już tak blisko, że zobaczył, jak Deirdre McComb obejrzała się i mokry koński ogon chlasnął ją po ramieniu jak zdechła ryba. Oczy jej się rozszerzyły, kiedy zobaczyła, kto próbuje pozbawić ją prowadzenia. Odwróciła się, pochyliła głowę i jeszcze bardziej przyspieszyła.

Scott najpierw zrównał z nią tempo, potem zaczął ją doganiać. Bliżej, bliżej, teraz prawie mógł dotknąć jej przemoczonej koszulki. Widział czyste strumyczki deszczu spływające jej po karku. Słyszał – nawet w ryku burzy – jej wysilony oddech. Widział ją, ale nie widział budynków po obu stronach ulicy ani ostatnich świateł, ani mostu. Nie wiedział już, gdzie jest, nie miał żadnych punktów orientacyjnych. Jedyne jego punktem orientacyjnym była czerwona koszulka.

Znowu się obejrzała i to był błąd. Zawadziła lewą stopą o prawą kostkę i upadła z rozłożonymi ramionami, rozchlapując wodę na boki niczym dzieciak skaczący do basenu na deskę. Usłyszał, jak stęknęła, kiedy uszło z niej powietrze.

Dotarł do niej, zatrzymał się i pochylił. Wykręciła się na jednej ręce, żeby na niego spojrzeć. Twarz miała ściągniętą z bólu i wściekłości.

– Jak ich oszukałeś? – wydyszała. – Niech cię cholera, jak...

Chwycił ją. Zajaśniała błyskawica i zmrużył oczy od blasku.

– Chodź.

Drugą ręką objął ją w talii i dźwignął.

Szeroko otwarła oczy. Znowu błysnęło.

– O mój Boże, co ty robisz? Co się ze mną dzieje?

Nie odpowiedział. Jej stopy się poruszały, ale nie dotykały jezdnii, po której płynęła teraz woda głęboka na kilka centymetrów; pedałowały w powietrzu. Wiedział, co się z nią dzieje, i z pewnością było to niezwykle, ale jego nie dotyczyło. Czują się lekka, może więcej niż lekka, ale dla niego była ciężka, smukłe ciało składające się głównie z mięśni i ścięgien. Puścił ją. Nadal nie widział Tin Bridge, ale dostrzegł niewyraźną żółtą smugę, z pewnością taśmę na mecie.

– Ruszaj! – krzyknął i wskazał linię mety. – Biegnij!

Pobiegła. On ruszył za nią. Przerwała taśmę. Zajaśniała błyskawica. Biegł dalej, wznosząc ręce w deszczu i zwalniając na moście. Znalazł ją w połowie Tin Bridge, na czworakach. Padł obok niej i oboje łąpczywie chwytały powietrze, które składało się głównie z wody.

Spojrzała na niego, deszcz spływał po jej twarzy jak łzy.

– Co się stało? Mój Boże, objąłeś mnie i poczułam, jakbym nic nie ważyła!

Scott przypomniał sobie monety, które włożył do kieszeni swojej parki w dniu, kiedy po raz pierwszy odwiedził doktora Boba.

Przypomni ł sobie, jak stawał na wadze, trzymaj c dziesi ciokilowe hantle.

– Ważyłaś – odparł.

– DeeDee! DeeDee!

Biegła do nich Missy. Rozł żyła ramiona. Deirdre podniosła si  z chlupotem i obj ła żon . Zatoczyły si  i o mało nie upadły. Scott wyci gnął r ce, żeby je podtrzyma c, ale nawet ich nie dotkn ł. Błysnęło.

Potem pojawił si  t um i otoczyli ich mieszkańcy Castle Rock, wiwatuj cy w deszczu.

5

Po wyścigu

Tego wieczoru Scott leżał w wannie napełnionej wodą tak gorącą, jak tylko mógł wytrzymać, próbując złagodzić ból mięśni. Kiedy zadzwonił telefon, wygrzebał go spod czystych ubrań złożonych na stołku obok wanny. Jestem uwiązany do tego cholerstwa, pomyślał.

– Halo?

– Deirdre McComb, panie Carey. Który wieczór mam zarezerwować na naszą kolację? Najlepiej przyszły poniedziałek, bo w poniedziałki restauracja jest zamknięta.

Scott się uśmiechnął.

– Chyba nie zrozumiała pani zakładu, pani McComb. Wygrała pani i wasze psy mają teraz swobodę działania na moim trawniku, dożywotnio.

– Oboje wiemy, że to nie całkiem prawda – odparła. – W rzeczywistości przegrał pan umyślnie.

– Zasłużyła pani, żeby wygrać.

Roześmiała się. Po raz pierwszy słyszał jej śmiech, który brzmiał uroczo.

– Mój szkolny trener złapałby się za głowę, gdyby coś takiego usłyszał. Zawsze mówił, że to, na co zasługujesz, nie ma nic wspólnego z tym, co dostajesz. Przyjmę jednak wygraną, jeśli zaprosi nas pan na kolację.

– W takim razie odkurzę moje wegetariańskie przepisy. Najbliższy poniedziałek może być, ale tylko jeśli przyprowadzi pani żonę. Około siódmej?

– Świetnie, na pewno przyjdzie. I... – Zawahała się. – Chciałam przeprosić za to, co powiedziałam. Wiem, że pan nie oszukiwał. Nie miał pan takiej możliwości. Poza tym myślę, że nie jest pan do tego zdolny.

– Nie ma potrzeby przepraszać – odparł Scott i mówił szczerze. Poza tym w pewnym sensie oszukiwał, chociaż nie miał na to wpływu.

– Jeśli nie za to, powinnam przeprosić za to, jak pana traktowałam. Mogłabym się powołać na okoliczności łagodzące, ale Missy mówi, że takie okoliczności nie istnieją, i chyba ma rację. Moje... nastawienie... nie jest łatwo zmienić.

Nie wiedział, co na to odpowiedzieć, więc zmienił temat.

– Czy któraś z was jest bezglutenowa? Nie toleruje laktozy? Pytam, żeby nie przygotować czegoś, czego pani albo Missy... panna Donaldson... nie może jeść.

Znowu się roześmiała.

– Nie jemy mięsa ani ryb i na tym koniec. Wszystko inne jest dopuszczalne.

– Nawet jajka?

– Nawet jajka, panie Carey.

– Scott. Proszę mi mówić Scott.

– Zgoda. A ja jestem Deirdre. Albo DeeDee, żeby nie mylić z psem Dee. – Znowu się zawahała. – Kiedy przyjdziemy na kolację, czy wyjaśnisz, co się stało, kiedy mnie podniosłeś? Podczas bieganina miewałam dziwne wrażenia, dziwne wizje, każdy biegacz ci to powie...

– Sam kilka miałem – wtrącił Scott. – Od Hunter's Hill zrobiło się bardzo... dziwnie.

– Ale nigdy nie czułam czegoś takiego. Przez kilka sekund zdawało mi się, że jestem na stacji kosmicznej albo coś w tym rodzaju.

– Tak, mogę wyjaśnić. Ale chciałbym zaprosić mojego przyjaciela, doktora Ellisa, który już wie. I jego żonę, jeśli będzie w mieście. – I jeśli zechce przyjść, ale tego Scott nie chciał mówić.

– Świetnie, więc do poniedziałku. Och, i koniecznie zajrzyj do „Press-Heralda”. Oczywiście artykuł będzie w gazecie dopiero jutro, ale jest już w sieci.

No jasne, pomyślał Scott. W dwudziestym pierwszym wieku drukowane gazety to też już przeżytek.

– Zajrzę.

– Myślisz, że to była błyskawica? Tam na końcu?

– Tak – potwierdził Scott. Co innego to mogło być? Błyskawica i grzmot to nierozłączna para, jak masło orzechowe i galaretka.

– Ja też tak pomyślałam – zakończyła DeeDee McComb.

Ubrał się i odpalił komputer. Artykuł znajdował się na stronie „Press-Heralda” i niewątpliwie znajdzie się na pierwszej stronie sobotniej gazety, może na samej górze, jeśli nie dojdzie do jakiegoś nowego kryzysu światowego. Nagłówek głosił: **MIEJSCOWA WŁAŚCICIELKA RESTAURACJI WYGRYWA BIEG INDYKA W CASTLE ROCK.** Według gazety mieszkaniec miasta zwyciężył w tym wyścigu po raz pierwszy od 1989 roku. W wydaniu online zamieszczono tylko dwie fotografie, ale Scott przypuszczał, że więcej pojawi się w sobotniej drukowanej wersji. Te błyski na końcu to nie były pioruny, tylko fotograf z gazety, który strzelił świetne fotki.

Pierwsza pokazywała Deirdre i Scotta razem. W tle światła uliczne przed Tin Bridge tworzyły smugę czerwieni, co znaczyło, że Deirdre upadła niecałe siedemdziesiąt metrów od mety. On obejmował ją w tali. Włosy wysunęły jej się z końskiego ogona i przylepiły do policzków. Podnosiła na niego wzrok, wyczerpana i zdumiona. On patrzył na nią z góry... z uśmiechem.

PORADZIŁA SOBIE Z NIEMIELKĄ POMOCĄ PRZYJACIELA, głosił podpis pod zdjęciem, a niżej: Mieszkaniec Castle Rock, Scott Carey, pomaga stanąć na nogi Deirdre McComb, która pośliznęła się na mokrej jezdni tuż przed metą.

Drugie zdjęcie podpisano: *UŚCISK ZWYCIĘSTWA* i wymieniono nazwiska trzech przedstawionych na nim osób: Deirdre McComb, Melissa Donaldson i Scott Carey. Deirdre i Missy się obejmowały. Chociaż Scott tylko otoczył ramionami obie kobiety, instynktownie chroniąc je przed upadkiem, wyglądało to tak, jakby uczestniczył w uścisku.

Artykuł wymieniał nazwę restauracji, którą Deirdre McComb prowadziła ze swoją „partnerką”, i cytował recenzję, która ukazała się w tejże gazecie w sierpniu i opisywała jedzenie jako „kuchnię wegetariańską z domieszką Tex-Mex, której trzeba spróbować. Warto się tam wybrać”.

Kot Bill D. zajął miejsce, które zwykle zajmował, kiedy Scott pracował przy komputerze, przysiadł na końcu biurka i obserwował swojego domowego człowieka nieprzeniknionymi zielonymi oczami.

– Powiem ci tyle, Bill – mruknął Scott – jeśli to nie przyciągnie klientów, to już nic nie pomoże.

Wszedł do łazienki i stanął na wadze. Wynik go nie zdziwił: sześćdziesiąt dwa kilogramy. Może to był skutek wysiłku fizycznego podczas biegu, ale Scott właściwie w to nie wierzył. Wierzył natomiast, że przerzucając metabolizm na wyższy bieg (i nadbieg na końcu), jeszcze bardziej przyspieszył ten proces.

Wyglądało na to, że Dzień Zero nadejdzie kilka tygodni wcześniej, niż się spodziewał.

Myra Ellis jednak przyszła z mężem na kolację. Początkowo była nieśmiała – niemal płochliwa – podobnie jak Missy Donaldson, ale kieliszek pinot (które Scott podał z serem, krakersami i oliwkami) rozluźnił obie panie. A potem cud – odkryły, że obie pasjonują się mykologią, i prawie przez cały posiłek rozmawiały o jadalnych grzybach.

– Tyle o nich wiesz! – wykrzyknęła Myra. – Mogę zapytać, czy chodziłaś do szkoły gastronomicznej?

– Tak. Po poznaniu DeeDee, ale długo przed naszym małżeństwem. Poszłam do ICE. To jest...

– Institute of Culinary Education w Nowym Jorku! – zawołała Myra. Kilka okruchów spadło na jej marszczoną jedwabną bluzkę, ale tego nie zauważyła. – Jest sławny! O mój Boże, tak ci zazdroścę!

Deirdre patrzyła na nie z uśmiechem. Doktor Bob też. Więc w porządku.

Scott spędził poranek w miejscowym supermarkecie, z pozostawionym przez Norę egzemplarzem *Radości gotowania* otwartym na siedzeniu dla dziecka w wózku na zakupy. Zadawał wiele pytań i nauka się opłacała, jak zwykle zresztą. Podał wegetariańskie lasagne Florentine z czosnkowymi grzankami z chleba bez skórki. Z zadowoleniem – ale bez zdziwienia – zobaczył, że

Deirdre zmiotła nie jedną i nie dwie, ale trzy duże porcje. Wciąż uzupełniała kalorie po biegu i napychała się węglowodanami.

– Na deser jest tylko babka piaskowa ze sklepu – oznajmił. – Ale czekoladową bitą śmietaną zrobiłem sam.

– Nie jadłem tego od dzieciństwa – powiedział doktor Bob. – Moja mama robiła ją na specjalne okazje. My, dzieciaki, nazywaliśmy to czoko-krem. Dawaj go, Scott.

– Plus chianti – dodał Scott.

Deirdre zaklaskała. Miała rumieńce, oczy jej błyszczały, najwyraźniej kobieta w szczytowej formie pod każdym względem.

– Dawaj to też!

To był pyszny posiłek i po raz pierwszy, odkąd Nora się wyniosła, Scott odkręcił wszystkie palniki w kuchni. Patrząc, jak goście jedzą, i słuchając ich rozmowy, uświadomił sobie, jaki pusty był ten dom, odkąd zostali tu tylko we dwójkę z Billem.

W pięcioro spałaszowali ciasto. Kiedy Scott zaczął zbierać talerze, Myra i Missy wstały.

– Pozwól, że my to zrobimy – poprosiła Myra. – Ty gotowałeś.

– Nic z tego, szanowna pani – oświadczył. – Postawię tylko wszystko na blat, a zmywarę załaduję później.

Zaniósł deserowe talerzyki do kuchni i ustawił na szafce. Odwrócił się i zobaczył uśmiechniętą Deirdre.

– Jeśli kiedyś będziesz szukał pracy, Missy potrzebuje kucharza od sosów.

– Wątpię, żebym dorastał do jej poziomu – odparł Scott. – Ale będę o tym pamiętał. Jak interesy w ten weekend? Chyba nieźle, skoro Missy szuka pracowników.

– Mamy pełno – powiedziała. – Wszystkie stoliki zajęte. Przyjezdni, ale także ludzie z Castle Rock, których nigdy jeszcze nie widziałam, przynajmniej nie u nas. I mamy mnóstwo rezerwacji na najbliższe

dziewięć, dziesięć dni. To jakby nowe otwarcie, kiedy ludzie przychodzą sprawdzić, co oferujesz. Jeśli jest niesmaczne czy nawet takie sobie, większość już nie wraca. Ale to, co robi Missy, nie jest takie sobie. Oni wrócą.

– Wygrana w wyścigu wszystko zmieniła, co?

– To zdjęcia wszystko zmieniły. A bez ciebie na zdjęciach byłyby tylko lesba wygrywająca bieg... nic nadzwyczajnego.

– Jesteś dla siebie za surowa.

Z uśmiechem pokręciła głową.

– Nie sądzę. Przygotuj się, wielkoludzie, zamierzam cię uściskać.

Zrobiła krok do przodu. Scott cofnął się, wyciągając przed siebie otwarte dłonie. Jej twarz spochmurniała.

– Nie chodzi o ciebie – powiedział. – Wierz mi, bardzo chciałbym cię uściskać. Oboje na to zasługujemy. Ale to może być niebezpieczne.

Missy stała w drzwiach kuchni, trzymając za nóżki kieliszki do wina.

– Co ci jest, Scott? Coś się stało?

Wyszczrzył zęby.

– Można tak powiedzieć.

Do kobiet dołączył doktor Bob.

– Zamierzasz im powiedzieć?

– Tak – potwierdził Scott. – W salonie.

Powiedział im wszystko. Ulga była ogromna. Myra wydawała się tylko zdziwiona, jakby nie całkiem zrozumiała, ale Missy nie chciała uwierzyć.

– To niemożliwe. Ciała ludzkie zmieniają się, kiedy tracą wagę, to powszechnie znany fakt.

Scott zawahał się, potem podszedł do kanapy, gdzie siedziała obok Deirdre.

– Daj mi rękę. Tylko na chwilę.

Wyciągnęła rękę. Tyle nie zaszkodzi, przekonywał sam siebie i miał nadzieję, że to prawda. Ostatecznie postawił Deirdre na nogi, kiedy upadła, i nic jej się nie stało.

Wziął rękę Missy i pociągnął. Wzleciała z kanapy z rozwianymi włosami, szeroko otwierając oczy. Złapał ją, żeby na niego nie wpadła, podniósł, postawił na podłodze i odstąpił. Kolana się pod nią ugięły, kiedy ją puścił i ciężar powrócił do jej ciała. Potem wyprostowała się i spojrzała na niego oczami rozszerzonymi ze zdumienia.

– Ty... ja... Jezu!

– Jak to było? – zapytał doktor Bob. Nachylił się w fotelu, oczy mu błyszczały. – Powiedz mi!

– To było... no... chyba nie potrafię tego opisać.

– Spróbuj.

– To było trochę jak w kolejce górskiej, kiedy zatrzymuje się na szczycie pierwszego stromego spadku i zaczyna zjazd. Żołądek podjechał mi do gardła... – Roześmiała się niepewnie, wciąż patrząc na Scotta. – Wszystko podjechało mi do góry!

– Wypróbowałem to z Billem – powiedział Scott i wskazał na kota rozciągniętego na ceglany kominku. – Spanikował. Podrapał mi całe ramię, tak mu się spieszyło, żeby zeskoczyć, a Bill nigdy nie drapie.

– Wszystko, co bierzesz do ręki, traci wagę? – zapytała Deirdre. – To prawda?

Zastanowił się nad tym. Często o tym myślał i czasami wydawało mu się, że to, co się z nim dzieje, to nie żaden fenomen, ale coś jak zarazek albo wirus.

– Żywe istoty nie mają ciężaru. Przynajmniej dla nich, ale...

– Mają ciężar dla ciebie.

– Tak.

– A inne rzeczy? Przedmioty nieożywione?

– Kiedy je wezmę do ręki... albo włożę na siebie... nie. Nie mają ciężaru. – Wzruszył ramionami.

– Jak to możliwe? – zapytała Myra. – Jak to w ogóle możliwe? – Spojrzała na męża. – Ty wiesz?

Pokręcił głową.

– O ile mi wiadomo, nigdy nie było takiego przypadku.

– Jak to się zaczęło? – zapytała Deirdre. – Co było przyczyną?

– Nie mam pojęcia. Nawet nie wiem, kiedy dokładnie to się zaczęło, bo nie miałem zwyczaju się ważyć, dopóki ten proces już się nie posunął.

– W kuchni powiedziałaś, że to niebezpieczne.

– Mówiłem, że to może być niebezpieczne. Nie wiem na pewno, ale taka nagła nieważkość może rozpieprzyć serce... ciśnienie... funkcjonowanie mózgu... Kto wie?

– Przecież astronauta przebywają w nieważkości – sprzeciwiła się Missy. – Albo prawie. Chyba ci, którzy okrążają Ziemię, wciąż podlegają przyciąganiu grawitacyjnemu, przynajmniej w jakimś stopniu. I ci, którzy chodzą po Księżycu.

– Nie chodzi tylko o to, prawda? – odezwała się Deirdre. – Boisz się, że to jest zaraźliwe.

Scott przytaknął.

– Coś takiego przyszło mi do głowy.

Na chwilę zapadło milczenie, kiedy wszyscy próbowali pojąć niepojęte. Potem Missy zawołała:

– Musisz iść do szpitala! Musisz się zbadać! Niech lekarze, którzy... którzy się na tym znają...

Urwała, kiedy dotarła do niej oczywistość: na tym nie znał się żaden lekarz.

– Może znajdą sposób, żeby to odwrócić – dokończyła wreszcie. Popatrzyła na Ellisa. – Jesteś lekarzem. Powiedz mu!

– Mówiłem – odparł doktor Bob. – Wiele razy. Scott odmawia. Najpierw myślałem, że popełnia błąd... że to zwykła przekora... ale zmieniłem zdanie. Bardzo wątpię, czy coś takiego można wyjaśnić naukowo. To może samo się zatrzymać... nawet cofnąć... ale wątpię, czy nawet najlepsi lekarze na świecie potrafiliby to zrozumieć, a co dopiero wpłynąć na to, w tę czy inną stronę.

– A ja nie zamierzam spędzić reszty mojego programu odchudzania w szpitalnej separacie albo w jakimś rządowym instytucie, gdzie będą mnie kłuli i opukiwali.

– Albo jako publiczna sensacja – dodała Deirdre. – Rozumiem to. Całkowicie.

Scott kiwnął głową.

– Więc zrozumiecie, kiedy poproszę was o obietnicę, żeby to zostało między nami.

– Ale co się z tobą stanie? – wybuchnęła Missy. – Co się stanie, kiedy stracisz cały ciężar?

– Nie wiem.

– Jak będziesz żył? Nie możesz po prostu... po prostu... – Rozejrzała się dzikim wzrokiem, jakby szukała kogoś, kto dokończy jej myśl. Nikt się nie zgłosił. – Nie możesz po prostu latać pod sufitem!

Scott, który myślał już o takim życiu, tylko ponownie wzruszył ramionami.

Myra Ellis nachyliła się z dłońmi splecionymi tak mocno, że zbiały jej kłykcie.

– Bardzo się boisz? Pewnie tak.

– I w tym rzecz – powiedział Scott. – Nie boję się. Na samym początku bałem się, ale teraz... nie wiem... jak bym się z tym pogodził.

W oczach Deirdre błyszczały łzy, ale się uśmiechała.

– To chyba też rozumiem – rzuciła.

– Tak – mruknął Scott. – Wierzę, że rozumiesz.

Myślał, że jeśli któreś z nich nie zdoła dotrzymać sekretu, to będzie Myra Ellis z jej komitetami i kościelnymi zebraniem. Ale dotrzymała. Wszyscy dotrzymali. Utworzyli jakby tajne stowarzyszenie i spotykali się raz na tydzień w Holy Frijole, gdzie Deirdre zawsze trzymała dla nich zarezerwowany stolik z karteczką: *Grupa doktora Ellisa*. Lokal zawsze był pełny albo prawie pełny i Deirdre mówiła, że po Nowym Roku, jeśli ruch nie zmaleje, będą musiały otwierać wcześniej i wprowadzić drugą turę. Missy rzeczywiście zatrudniła do pomocy w kuchni kucharza od sosów i za radą Scotta przyjęła kogoś z miejscowych – najstarszą córkę Milly Jacobs.

– Jest trochę powolna, ale chętna do nauki i wyrobi się, zanim wrócą letnicy – oceniła ją Missy. – Zobaczycie.

Potem zaczerwieniła się i spuściła wzrok na swoje ręce, uświadomiwszy sobie, że Scotta może już nie być, kiedy wrócą letnicy.



Dziesiątego grudnia Deirdre McComb włączyła lampki na wielkiej choince na placu miejskim w Castle Rock. Na tę wieczorną ceremonię przybyło prawie tysiąc osób, włącznie z chórem szkolnym śpiewającym kolędy. Burmistrz Coughlin, przebrany za Świętego Mikołaja, przyleciał helikopterem.

Rozległy się oklaski, kiedy Deirdre weszła na podium, i ryk aprobaty, gdy ogłosiła dziewięciometrowy świerk „najlepszą choinką w najlepszym mieście Nowej Anglii”.

Zapaliły się lampki, neonowy anioł na wierzchołku okręcił się i dygnął, a tłum zaśpiewał razem ze szkolnym chórem: *O choinko, o choinko, jak piękne są twe gałązki*. Scott z rozbawieniem zobaczył, że Trevor Yount śpiewa i klaszcze razem z innymi.

Tamtego dnia Scott Carey ważył pięćdziesiąt jeden i pół kilograma.

6

Niewiarygodna lekkość bytu

Istniały granice tego, co Scott zaczął nazywać w myślach „efektem nieważkości”. Ubrania nie unosiły się nad jego ciałem. Krzesła nie lewitowały, kiedy na nich siadał, chociaż jeśli zaniósł któreś do łazienki i stanął z nim na wadze, ta nie rejestrowała ciężaru mebla. Jeśli tym zjawiskiem rządziły jakieś zasady, nie rozumiał ich i nie dbał o nie. Zachował optymizm i dobrze sypiał. Tylko to się dla niego liczyło.

W Nowy Rok zadzwonił do Mike’a Badalamente, złożył życzenia, a potem powiedział, że wybiera się na kilka tygodni do Kalifornii, w odwiedziny do jedynej żyjącej ciotki. Czy Mike wzięłby na ten czas jego kota?

– No, nie wiem – odparł Mike. – Może. Czy on się załatwia do kuwety?

– Absolutnie.

– Dlaczego ja?

– Bo uważam, że w każdej księgarni powinien być kot rezydent, a w twojej takiego nie ma.

– Na jak długo planujesz wyjechać?

– Nie wiem. To zależy, jak się czuje ciocia Harriet.

Oczywiście nie istniała żadna ciocia Harriet i musiałby poprosić doktora Boba albo Myrę, żeby zanieśli kota do Mike’a. Deirdre i Missy

pachniały psami, a Scott nie mógł już nawet pogłaskać starego przyjaciela; jeśli się zbliżył, Bill uciekał.

– Co on je?

– Friskies – odparł Scott. – I dostaniesz duży zapas razem z kotem. To znaczy jeśli się zdecyduję na wyjazd.

– Okay, umowa stoi.

– Dzięki, Mike. Dobry z ciebie kumpel.

– Nie tylko dlatego to robię. Dałeś temu miastu drobną, ale cenną moralną naukę, kiedy pomogłeś tej McComb wstać, żeby mogła dokończyć wyścig. To co spotykało ją i jej żonę, było paskudne. Teraz jest lepiej.

– Trochę lepiej.

– Właściwie dużo lepiej.

– W każdym razie dzięki. I jeszcze raz szczęśliwego Nowego Roku.

– Nawzajem, chłopie. Jak się nazywa kot?

– Bill. Dokładnie Bill D.

– Jak w tym komiksie *Bloom County*. Fajnie.

– Weź go czasem na ręce i pogłaszcz. To znaczy jeśli się zdecyduję na wyjazd. On to lubi.

Scott rozłączył się, pomyślał, co oznacza rozdawanie rzeczy – zwłaszcza rozdawanie bliskich przyjaciół – i zamknął oczy.

Parę dni później zadzwonił doktor Bob i zapytał, czy Scott stale traci na wadze do kilograma dziennie. Scott potwierdził, wiedząc, że nikt go nie przyłapie na kłamstwie; wyglądał tak jak zawsze, włącznie z wielkim brzuchem zwisającym nad paskiem.

– Więc... nadal myślisz, że waga spadnie do zera na początku marca?

– Tak.

Scott przypuszczał teraz, że Dzień Zero może nadejść przed końcem stycznia, ale nie wiedział na pewno, nie mógł nawet niczego przewidzieć, ponieważ przestał się ważyć. Nie tak dawno obchodził z daleka wagę łazienkową, bo pokazywała za wiele kilogramów; teraz nie używał jej z odwrotnego powodu. Ironia nie uszła jego uwagi.

Na razie Bob i Myra Ellisowie nie powinni wiedzieć, jak bardzo proces przyspieszył, ani Deirdre i Missy. W końcu będzie im musiał powiedzieć, bo kiedy nadejdzie ta chwila, będzie potrzebował pomocy jednego z nich. I wiedział którego.

– Ile teraz ważysz? – zapytał doktor Bob.

– Czterdzieści osiem – odparł Scott.

– Jasna cholera!

Scott podejrzewał, że Ellis użyłby znacznie mocniejszych słów, gdyby wiedział to co on: że zbliżał się raczej do trzydziestu

kilogramów. Mógł przejść przez swój wielki salon czterema susami albo podskoczyć, chwycić belkę sufitową i huśtać się na niej jak Tarzan. Nie osiągnął jeszcze wagi, jaką miałby na Księżycu, ale niewiele mu brakowało.

Doktor Bob milczał przez chwilę, a potem powiedział:

– Czy brałeś pod uwagę, że przyczyna tego, co się z tobą dzieje, może być żywa?

– Jasne – odparł Scott. – Jakaś egzotyczna bakteria, która dostała się do skaleczenia, albo wyjątkowo rzadki wirus, którego połknąłem.

– Przyszło ci do głowy, że to coś może być rozumne?

Teraz z kolei Scott zamilkł. Dopiero po chwili odparł:

– Tak.

– Muszę przyznać, że wyjątkowo dobrze to znosisz.

– Na razie jest nieźle – powiedział Scott, ale trzy dni później odkrył, jak wiele jeszcze trudności go czeka, zanim nadejdzie koniec. Myślisz, że wiesz, myślisz, że się przygotowałeś... A potem próbujesz pójść do skrzynki po pocztę.

W zachodnim Maine od Nowego Roku trwała styczniowa odwilż i temperatura przekraczała dziesięć stopni. Dwa dni po telefonie doktora Boba doszła aż do piętnastu i dzieci poszły do szkoły w lekkich kurtkach. W nocy jednak ochłodziło się i zaczął padać marznący deszcz ze śniegiem.

Scott ledwie to zauważył. Spędził cały wieczór przy komputerze, zamawiając różne rzeczy. Mógł wszystko dostać na miejscu – wózek inwalidzki i pasy bezpieczeństwa w dziale medycznym supermarketu, gdzie kupował słodycze na Halloween, rampę i kłamry w składzie artykułów żelaznych Purdy’ego. Ale miejscowi lubią gadać. I zadawać pytania. Wolał tego unikać.

Śnieżyca skończyła się około północy. Następny dzień wstał pogodny i mroźny. Świeży śnieg, pokryty skorupką lodu, błyszczał oślepiającą bielą. Trawnik i podjazd wyglądały jak spryskane przezroczystym plastikiem. Scott włożył parkę i wyszedł po pocztę. Nabrał zwyczaju pomijania schodów i zeskakiwania prosto na podjazd. Nogi, o wiele za silne jak na jego obecną wagę, najwyraźniej potrzebowały takiego rozładowania energii.

Zrobił to teraz i kiedy uderzył stopami o lodową pokrywę, nogi spod niego uciekły. Wylądował na tyłku i wybuchnął śmiechem, ale szybko umilkł, kiedy zaczął się ślizgać. Zjechał na plecach po

pochyłości trawnika niczym kula do kręgli, nabierając szybkości w miarę, jak zbliżał się do ulicy. Złapał się krzaka, lecz gałęzie były oblodzone i ręka mu się ześliznęła. Przetoczył się na brzuch i rozłożył nogi, licząc, że to go spowolni. Nie spowolniło. Tylko okręcił się dookoła.

Skorupa lodu jest gruba, ale nie aż taka gruba, pomyślał. Gdybym ważył tyle, na ile wyglądam, pękłaby pode mną i mógłbym się zatrzymać. Ale nie pęknie. Wyniesie mnie aż na jezdnię i jeśli akurat będzie przejeżdżał samochód, raczej nie zdąży zahamować na czas. Wtedy już nie będę musiał się martwić o Dzień Zero.

Nie dotarł tak daleko. Uderzył w słupek, na którym wisiała jego skrzynka pocztowa, tak mocno, że zaparło mu dech. Kiedy doszedł do siebie, spróbował wstać. Wykonał szpagat na śliskiej nawierzchni i znowu upadł. Oparł stopy o słupek i odepchnął się. To też nie podziałało. Przesunął się o kilkadziesiąt centymetrów, stracił impet i znowu zjechał do słupka. Potem próbował się podciągać, ale jego rozczapierzone palce tylko ślizgały się po lodzie. Zapomniał rękawiczek i ręce mu drętwiały.

Potrzebuję pomocy, powiedział sobie i natychmiast pomyślał o Deirdre. Sięgnął do kieszeni parki, lecz jak na złość nie wziął telefonu. Zostawił go na biurku w gabinecie. Pewnie mógłby zjechać aż na ulicę, przesunąć się na pobocze i zatrzymać pierwszy nadjeżdżający samochód. Ktoś by mu na pewno pomógł, ale ten ktoś zadawałby pytania, na które Scott nie chciał odpowiadać. Podjazd wyglądał jeszcze bardziej beznadziejnie, jak tor łyżwiarski.

No i leżę tu sobie jak żółw przewrócony na grzbiet, pomyślał. Ręce zdrętwiały, stopy zaraz zdrętwieją.

Wyciągnął szyję, żeby popatrzeć na nagie drzewa, których gałęzie kołysały się lekko na tle błękitnego bezchmurnego nieba. Spojrzał na skrzynkę pocztową i zobaczył coś, co mogło być rozwiązaniem jego

tragikomicznego problemu. Usiadł ze słupkiem między nogami i chwycił metalową chorągiewkę z boku skrzynki. Była obluzowana i dwa mocne szarpnięcia wystarczyły, żeby ją odłamać. Ostрым końcem metalu wydłubał dwie dziury w lodzie. Oparł kolano w jednej, potem stopę w drugiej. Wstał, trzymając się wolną ręką słupka, żeby nie stracić równowagi. W ten sposób dotarł przez trawnik do schodów: schylał się, żeby rozbić lodową skorupę, robił krok do przodu i znowu rąbał lód.

Przejechało kilka samochodów i ktoś zatrąbił. Scott pomachał, nie odwracając się. Zanim dotarł do ganku, całkiem stracił czucie w rękach i jedna krwawiła w dwóch miejscach. Plecy go bolały jak skurwysyn. Ruszył do drzwi, pośliznął się i ledwie zdążył złapać obludzoną żelazną poręcz, zanim zjechał z powrotem do skrzynki pocztowej. Wątpił, czy dałby radę powtórzyć swój wyczyn, nawet stąpając po gotowych dziurach. Był wyczerpany, spocony jak mysz pod parką. Położył się w holu. Bill podszedł, żeby mu się przyjrzeć – ale nie za blisko – i miauknął z troską.

– Nic mi nie jest – powiedział Scott. – Nie martw się, dostaniesz jeść.

Tak, nic mi nie jest, pomyślał. Tylko mała zaimprovizowana ślizgawka. Ale teraz zaczynają się naprawdę dziwne numery.

Jedyna pociecha jest taka, że te naprawdę dziwne numery nie potrwają długo, pomyślał.

Ale muszę jak najszybciej założyć te klamry i zainstalować rampę. Nie zostało dużo czasu.

Wponiedziałkowy wieczór w połowie miesiąca członkowie „grupy doktora Ellisa” zjedli ostatni wspólny posiłek. Scott nie spotykał się z nimi od tygodnia, wymawiając się koniecznością dokończenia projektu witryn internetowych sieci domów towarowych. Który właściwie skończył przed Gwiazdką, przynajmniej pierwszy szkic. Przypuszczał, że ktoś inny doszlifuje ostatnie szczegóły.

Uprzedził, że to będzie przyjęcie składkowe i goście muszą przynieść jedzenie, bo gotowanie sprawiało mu teraz trudności. Właściwie wszystko sprawiało mu trudności. Wchodzenie po schodach było łatwe: trzy szybkie, lekkie skoki załatwiały sprawę. Gorzej było ze schodzeniem. Scott bał się, że przekoziółkuje i złamie nogę, więc trzymał się poręczy i opuszczał się stopień po stopniu, niczym staruszek cierpiący na podagrę i reumatyzm. Miał również skłonność do wpadania na ściany, ponieważ trudno mu było ocenić rozpęd, a jeszcze trudniej nad nim zapanować.

Myra zapytała go o rampę, zakrywającą teraz schody na ganek. Doktora Boba i Missy bardziej zaniepokoił wózek inwalidzki stojący w kącie salonu i pasy bezpieczeństwa – dla ludzi, którzy nie są w stanie siedzieć prosto – zawieszony na oparciu. Deirdre nie

zadawała pytań, tylko spojrzała na niego ze zrozumieniem i smutkiem.

Zjedli pyszną wegetariańską zapiekankę (Missy) i ziemniaki zapiekane z serem (Myry), a na deser grudkowate, lecz smaczne anielskie ciasto biszkoptowe, tylko trochę przypalone na spodzie (doktor Bob). Wino było dobre, ale rozmowa i śmiech jeszcze lepsze. Scott upajał się nimi.

Kiedy skończyli, powiedział:

– Czas się przyznać. Okłamałem was. To się posuwa trochę szybciej, niż mówiłem.

– Scott, nie! – krzyknęła Missy.

Doktor Bob bez zdziwienia kiwnął głową.

– O ile szybciej?

– Półtora kilograma dziennie, nie kilogram.

– I ile teraz ważysz?

– Nie wiem. Omijałem wagę z daleka. Przekonajmy się.

Spróbował wstać. Zawadził udami o krawędź stołu i poleciał do przodu. Podparł się rękami, przewracając dwa kieliszki z winem. Deirdre szybko wzięła ścierkę i rzuciła ją na płamę.

– Przepraszam, przepraszam – powiedział Scott. – Ostatnio nie znam swojej siły.

Odwrócił się ostrożnie jak na wrotkach i ruszył na tyły domu. Nieważne, jak bardzo się starał, jego kroki stawały się skokami. Reszta wagi chciała go zatrzymać na ziemi, mięśnie kazały mu się unosić. Stracił równowagę i musiał się złapać jednej z nowo zainstalowanych klamer, żeby nie wpaść głową naprzód do przedpokoju.

– O Boże – westchnęła Deirdre. – To jakbyś od nowa uczył się chodzić.

Szkoda, że nie widziałaś, kiedy ostatnio próbowałem odebrać pocztę, pomyślał Scott. To dopiero było pouczające doświadczenie.

Przynajmniej żadne z nich nie wracało do tematu szpitala. Co go zresztą nie dziwiło. Wystarczyło jedno spojrzenie na jego ruchy, jednocześnie niezdarne, śmieszne i pełne osobliwej gracji, by się przekonać, że żaden szpital tu nie pomoże. To już była prywatna sprawa. Cieszył się, że to zrozumieli.

Wszyscy stłoczyli się w łazience i patrzyli, jak Scott staje na wadze Ozeri.

– Jezu – powiedziała cicho Missy. – Och, Scott.

Skala pokazała trzynaście i pół kilograma.

Scott wrócił do jadalni razem z gośćmi. Szedł ostrożnie jak człowiek, który przekracza strumień po kamieniach. Mimo to znowu wpadł na stół. Missy odruchowo wyciągnęła rękę i chciała go podtrzymać, ale dał znak, żeby tego nie robiła.

– Pogodziłem się z tym – powiedział, kiedy usiedli. – Właściwie czuję się całkiem dobrze. Naprawdę.

Myra była bardzo blada.

– Jak możesz się czuć dobrze?

– Nie wiem. Po prostu. Ale to jest nasza pożegnalna kolacja. Nie spotkam się z wami więcej. Oprócz Deirdre. Potrzebuję kogoś, żeby mi pomógł na końcu. Zrobisz to?

– Tak, oczywiście. – Nie zawahała się, tylko objęła ramieniem żonę, która zaczęła płakać.

– Chciałem tylko powiedzieć... – Scott przerwał i odchrząknął. – Chciałem powiedzieć, że żałuję, że nie mieliśmy więcej czasu. Byliście dla mnie dobrymi przyjaciółmi.

– To najbardziej szczerzy komplement ze wszystkich. – Doktor Bob ocierał oczy serwetką.

– To niesprawiedliwe! – wybuchnęła Missy. – To cholernie niesprawiedliwe!

– No tak – zgodził się Scott. – Ale nie zostawiam żadnych dzieci, moja była jest szczęśliwa tam, gdzie jest, i to lepsze od raka albo alzheimera, albo dogorywania na oddziale szpitalnym. Pewnie przejdę do historii, jeśli ktoś o tym opowie.

– Czego nie zrobimy – zapewnił go doktor Bob.

– Nie – potwierdziła Deirdre. – Nie zrobimy. Możesz mi powiedzieć, czego ode mnie potrzebujesz, Scott?

Mógł i powiedział, pomijając tylko to, co było schowane w papierowej torbie w szafie w holu. Słuchali w milczeniu i nikt nie sprzeciwił się ani słowem.

Kiedy skończył, Myra zapytała bardzo nieśmiało:

– Jakie to uczucie, Scott? Co ty czujesz?

Przypomniał sobie, jak się czuł, zbiegając z Hunter's Hill, kiedy złapał drugi oddech i cały świat odsłonił się przed nim w niewidocznej dotąd glorii zwykłych rzeczy – niskie ołowiane niebo, chorągiewki łopoczące na budynkach, każdy bezcenny kamyk, niedopałek i puszka po piwie rzucona na poboczu drogi. Jego ciało chociaż raz pracujące z najwyższą wydajnością, każda komórka naładowana tlenem.

– Uniesienie – powiedział w końcu.

Spojrzał na Deirdre McComb, zobaczył jej błyszczące oczy wlepione w jego twarz i wiedział, że zrozumiała, dlaczego ją wybrał.

Myra zwabiła Billa do transportera. Doktor Bob zaniósł go do swojej toyoty 4runner i postawił z tyłu. Potem wszyscy czworo stanęli na ganku; ich oddechy tworzyły pióropusze pary w zimnym nocnym powietrzu. Scott został w drzwiach, trzymając się mocno klamry.

– Mogę coś powiedzieć, zanim pójdziemy? – zapytała Myra.

– Oczywiście – zapewnił Scott, chociaż wolałby, żeby nic nie mówiła. Wolałby, żeby po prostu sobie poszli. Pomyślał, że odkrył jedną z wielkich życiowych prawd (bez której doskonale mógł się obyć): jedyną rzeczą trudniejszą niż żegnanie się ze sobą, po kilogramie na raz, jest pożegnanie się z przyjaciółmi.

– Byłam bardzo niemądra. Przykro mi z powodu tego, co się z tobą stało, Scott, ale cieszę się z tego, co się stało ze mną. Gdyby nie to, pozostałabym ślepa na pewne bardzo dobre rzeczy i pewnych bardzo dobrych ludzi. Pozostałabym niemądrą starą kobietą. Nie mogę cię uściskać, więc to będzie musiało wystarczyć.

Otworzyła ramiona, objęła Missy i Deirdre i uściskała. Odwzajemniły uścisk.

– Uszanuję twoje życzenia, Scott – powiedział doktor Bob – ale gdybyś mnie potrzebował, przybiegnę w te pędy. – Zaśmiał się. – No

nie, czasy biegania się dla mnie skończyły, ale wiesz, co mam na myśli.

– Wiem. Dziękuję.

– Na razie, stary, i uważaj, gdzie stąpasz. I jak.

Scott patrzył, jak idą do samochodu doktora Boba. Patrzył, jak wsiadają. Pomachał, pilnując się, żeby nie wypuścić klamry. Potem zamknął drzwi i na wpół idąc, na wpół skacząc, wrócił do kuchni. Czuł się jak postać z kreskówki. W głębi duszy właśnie dlatego tak mu zależało na utrzymaniu sekretu. Z pewnością wyglądał absurdalnie i to było absurdalne... ale tylko dla kogoś postronnego.

Usiadł przy kuchennym blacie i popatrzył na pusty kąt, gdzie przez siedem lat stały miseczki Billa na jedzenie i wodę. Patrzył tak przez długi czas. Potem poszedł do łóżka.

Następnego dnia dostał e-maila od Missy Donaldson.

Powiedziałam DeeDee, że chcę z nią pójść i być z tobą do końca. Porządnie się o to pokłóciłyśmy. Nie poddałam się, dopóki mi nie przypomniała o mojej stopie i jak się z tym czułam, kiedy byłam małą dziewczynką. Teraz mogę biegać – uwielbiam biegać – ale nigdy nie byłam zawodniczką jak DeeDee, bo nadaję się tylko na krótkie dystanse, nawet po tylu latach. Widzisz, urodziłam się z *talipes equinovarus*, potocznie nazywaną szpotawą stopą. W wieku siedmiu lat miałam operację, która to skorygowała, ale do tamtej pory chodziłam o lasce, a później potrzebowałam wielu lat, żeby nauczyć się chodzić normalnie.

Kiedy miałam cztery lata – pamiętam to bardzo wyraźnie – pokazałam tę stopę mojej przyjaciółce Felicity. Śmiała się i powiedziała, że to wstrętne, paskudne, głupia stopa. Później już nikomu nie pozwoliłam jej zobaczyć oprócz matki i lekarzy. Nie chciałam, żeby ludzie się śmiali. DeeDee mówi, że ty tak się czujesz z tym, co ci się stało. Mówi: „On chce, żebyś go zapamiętała takiego, jaki był normalny, a nie podskakującego po domu i wyglądającego jak kiepski efekt specjalny z filmu fantastycznonaukowego z lat pięćdziesiątych zeszłego wieku”.

Wtedy zrozumiałam, ale to nie znaczy, że to mi się podoba albo że na to zasługujesz.

Scott, dzięki temu, co zrobiłeś w dniu wyścigu, mogłyśmy zostać w Castle Rock, nie tylko dlatego, że mamy tu firmę, ale ponieważ teraz możemy stać się częścią tego miasta. DeeDee sądzi, że zaproszą ją do Jaycees². Śmieje się i mówi, że to głupie, ale wiem, że w głębi duszy wcale nie uważa, że to głupie. To trofeum, takie samo jak w zawodach, które wygrywała. Nie wszyscy nas zaakceptują, nie jestem aż tak niemądra (ani naiwna), by wierzyć, że jest inaczej. Niektórzy nigdy nie zmienią zdania, ale większość tak. Wiele osób już zmieniło zdanie. Bez ciebie nigdy by do tego nie doszło i bez ciebie cząstka mojej ukochanej zawsze pozostałaby zamknięta dla świata. Ona ci się do tego nie przyzna, ale ja ci to powiem: miała pretensje do całego świata, a ty ją wyleczyłeś. Zawsze była przewrażliwiona i nie spodziewam się, że to się zmieni, ale teraz

jest otwarta. Widzi więcej, słyszy więcej, jest kimś więcej. Dzięki tobie. Bo podniosłeś ją, kiedy upadła. Ona mówi, że między wami jest więź, że czujecie to samo i dlatego to ona musi ci pomóc na końcu. Czy jestem zazdrosna? Trochę, ale chyba rozumiem. Powiedziałaś, że czujesz uniesienie. Ona czuje to samo, kiedy biega. Dlatego biega.

Proszę, bądź dzielny, Scott, i pamiętaj, że myślę o tobie. Niech cię Bóg błogosławi.

Całuję

Missy

PS Kiedy chodzimy do księgarni, zawsze głaszczemy Billa. On chyba za tobą tęskni.

Scott chciał zadzwonić do Missy i podziękować jej za te ciepłe słowa, ale doszedł do wniosku, że to zły pomysł. Oboje za bardzo się wzruszą. Zamiast tego wydrukował jej list i włożył do kieszeni uprząży.

Zabierze go ze sobą, kiedy odejdzie.

W następną niedzielę rano Scott przeszedł przez hol do łazienki na dole kilkoma krokami, które wcale nie przypominały kroków. Każdy był długim susem wynoszącym go aż pod sufit, gdzie odpychał się palcami, żeby znowu opaść na dół. Gaz w piecyku zapalił się i lekki podmuch z wentylatora dosłownie odepchnął Scotta na bok. Obrócił się i złapał klamrę, żeby przeciąg go nie porwał.

W łazience przez chwilę unosił się nad wagą, aż w końcu opadł. Początkowo myślał, że waga nie zarejestruje żadnego ciężaru. Potem wreszcie wykrztusiła cyfry: 0,95. Mniej więcej tego się spodziewał.

Wieczorem zadzwonił do Deirdre na komórkę. Mówił prosto.

– Potrzebuję cię. Możesz przyjść?

– Tak. – Tylko tyle powiedziała i to mu wystarczyło.

Drzwi domu były zamknięte, ale nie na klucz. Deirdre wśliznęła się do środka, nie otwierając ich na całą szerokość z powodu przeciągów. Zapaliła światło w przedpokoju, żeby rozpędzić cienie, potem weszła do salonu. Scott siedział na wózku inwalidzkim. Udało mu się częściowo nałożyć uprząż, która była przypięta do oparcia, ale jego ciało unosiło się nad siedziskiem, a jedna ręka wisiała w powietrzu. Twarz błyszczała mu od potu, przepocona koszulka pociemniała z przodu.

– Czekałem prawie za długo – wydyszał. – Musiałem płynąć w dół do fotela. Żabką, jeśli możesz uwierzyć.

Deirdre uwierzyła. Podeszła do niego i stanęła przed wózkiem inwalidzkim, przyglądając się Scottowi z namysłem.

– Jak długo już taki jesteś?

– Trochę. Chciałem zaczekać do zmroku. Już jest ciemno?

– Prawie. – Padła na kolana. – Och, Scott. To okropne.

Powoli pokręcił głową tam i z powrotem, jakby to robił pod wodą.

– Sama wiesz, że nie.

Tak myślała. Miała taką nadzieję.

Walczył z fruującym ramieniem i w końcu zdołał je wepchnąć w otwór kamizelki.

– Czy możesz zapiąć pasy na mojej piersi i w talii, nie dotykając mnie?

– Chyba tak – powiedziała, ale dwukrotnie musnęła go kłykciami, klęcząc przed fotelem, raz jego bok, raz ramię, i za każdym razem czuła, że jej ciało się unosi, a potem opada. Przy każdym zetknięciu jej żołądek wywijał fikołka i przypomniała sobie, jak jej ojciec wołał: „Ups!”, kiedy samochód najeżdżał na duży wybój. Albo – tak, Missy miała rację – jakby kolejka górską wjechała na pierwszy szczyt, zawahała się, a potem runęła w dół.

W końcu się z tym uporała.

– Co teraz?

– Niedługo wypróbujemy nocne powietrze. Najpierw jednak otwórz szafę, tę przy drzwiach, gdzie trzymam buty. Jest tam papierowa torba i zwój sznura. Myślę, że możesz popychać wózek, ale jeśli nie, będziesz musiała przywiązać sznur do oparcia i pociągnąć.

– Jesteś tego pewien?

Przytaknął z uśmiechem.

– Myślisz, że chcę spędzić resztę życia przywiązany do tego ustrojstwa? Albo żeby ktoś musiał wchodzić po drabinie i mnie karmić?

– No, byłoby z tego super wideo na YouTubie.

– W które nikt by nie uwierzył.

Znalazła sznur i brązową papierową torbę i przyniosła je do salonu. Scott wyciągnął rękę.

– Dawaj, mała, zobaczymy, co potrafisz. Rzuć mi stamtąd torbę.

Rzuciła i to był dobry rzut. Torba pofrunęła łukiem w stronę wyciągniętych rąk Scotta... zatrzymała się centymetr nad jego dłońmi... i powoli na nie opadła. Tam jakby nabrała wagi i Deirdre musiała sobie przypomnieć, co Scott mówił, kiedy po raz pierwszy wyjaśniał to zjawisko: rzeczy miały ciężar dla niego. Czy to był

paradoks? Głowa ją bolała od tego wszystkiego, a zresztą teraz i tak nie miała czasu o tym myśleć. Scott zdjął papierową torbę i trzymał w rękach kwadratowy przedmiot, opakowany w gruby papier z wzorem wybuchających gwiazd. Z dna wystawał płaski czerwony język, długi na jakieś piętnaście centymetrów.

– To się nazywa SkyLight. Sto pięćdziesiąt dolarów z Fabryki Fajerwerków w Oxford. Kupiłem w internecie. Mam nadzieję, że było warto.

– Jak to zapalisz? Jak sobie poradzisz, kiedy... kiedy...

– Nie wiem, czy dam radę, ale mocno w to wierzę. Lont zapala się od pocierania.

– Scott, czy ja muszę to zrobić?

– Tak – powiedział.

– Chcesz odejść.

– Tak – powtórzył. – Już czas.

– Na dworze jest zimno, a ty jesteś spocony.

– To nieważne.

Ale dla niej było ważne. Poszła na górę i ściągnęła kołdrę z łóżka, w którym ktoś sypiał – przynajmniej kiedyś – lecz nie zostawił odcisku ciała na materacu ani głowy na poduszce.

– Kołdra – prychnęła. To wydawało się głupie w tych okolicznościach. Zniosła kołdrę na dół, rzuciła Scottowi tak, jak przedtem rzuciła papierową torbę, i patrzyła z taką samą fascynacją, jak kołdra zawisa... rozkwita... a potem osiada na kolanach Scotta.

– Owiń się nią.

– Tak jest, psze pani.

Patrzyła, jak to robi, potem wsunęła mu pod stopy kawałek, który włókł się po podłodze. Tym razem poczuła to mocniej – Ups! – podwójny fikołek zamiast pojedynczego. Jej kolana uniosły się z podłogi, a włosy popłynęły w górę. Potem to minęło i kiedy jej

kolana znowu uderzyły o deski, lepiej zrozumiała, dlaczego Scott mógł się uśmiechać. Przypomniała sobie coś, co czytała w szkole – chyba Faulknera: „Grawitacja jest kotwicą, która wciąga nas do grobów”. Dla tego człowieka nie będzie grobu ani grawitacji. Otrzymał specjalną dyspensę.

– Przytulnie jak u Pana Boga za piecem – powiedział.

– Nie żartuj, Scott. Proszę.

Stała za wózkiem i ostrożnie położyła ręce na wystających uchwytach. Nie potrzebowała sznura, zachowała wagę. Wypchnęła wózek przez drzwi na ganek i sprowadziła po rampie.

Noc była mroźna, pot na twarzy ziębił, ale powietrze smakowało tak słodko i orzeźwiająco, jak pierwszy kęs jesiennego jabłka. Nad głową wisiał półksiężyc i chyba miliard gwiazd.

Jak miliard kamyków, równie tajemniczych, po których stąpamy każdego dnia, pomyślał Scott. Tajemnica na górze, tajemnica na dole. Ciężar, masa, rzeczywistość: tajemnica wszędzie dookoła.

– Tylko nie płacz – poprosił. – To nie jest żaden cholerny pogrzeb.

Zepchnęła wózek na zaśnieżony trawnik. Koła zapadły się dwadzieścia centymetrów w śnieg i ugrzęzły. Niedaleko od domu, ale dostatecznie daleko, żeby nie utknąć pod okapem. To by dopiero było rozczarowanie, pomyślał i zachichotał.

– Co w tym śmiesznego, Scott?

– Nic – odparł. – Wszystko.

– Popatrz tam. Na ulicę.

Zobaczył trzy grubo opatulone sylwetki, każdą z latarką: Missy, Myrę i doktora Boba.

– Nie mogłam ich powstrzymać. – Deirdre obeszła wózek i przyklękła na jedno kolano przed owiniętym kołdrą mężczyzną o błyszczących oczach i włosach zlepionych potem.

– A próbowałaś? Powiedz mi prawdę, DeeDee. – Po raz pierwszy ją tak nazwał.

– No... nie bardzo.

Kiwnął głową z uśmiechem.

– Interesująca dyskusja.

Roześmiała się, a potem otarła oczy.

– Jesteś gotowy?

– Tak. Pomożesz mi ze sprzączkami?

Udało jej się odpiąć dwie mocujące uprzęż do oparcia fotela, a wtedy Scott natychmiast uniósł się, napierając na pas w talii. Namęczyła się z tym pasem, bo był ciasno naciągnięty, a jej palce drętwiały na styczniovym mrozie. Ciągle dotykała Scotta i za każdym razem jej ciało traciło kontakt z pokrywą śniegu. Czuła się jak ludzki skoczek pogo. Nie dawała jednak za wygraną i wreszcie ostatni pas przytrzymujący Scotta na fotelu zaczął się rozluźniać.

– Kocham cię, Scott – powiedziała. – Wszyscy cię kochamy.

– I nawzajem. Ucałuj ode mnie swoją kochaną dziewczynę.

– Dwa razy – obiecała.

Potem pas wysliznął się ze sprzączki i dokonało się.

Scott powoli uniósł się z fotela. Kołdra wlokła się za nim jak długa spódnica. Czuł się jak groteskowa Mary Poppins, tylko bez parasolki. Potem złapał wiatr i zaczął się wznosić szybciej. Jedną ręką trzymał kołdrę, a drugą przyciskał do piersi SkyLight. Zobaczył malejący owal twarzy Deirdre, która unosiła głowę. Machała do niego, ale miał zajęte ręce i nie mógł odmachać. Widział, że pozostali też machają, stojąc na View Drive. Skupili na nim światła latarek i zauważył, jak się zlewają, kiedy nabierał wysokości.

Wiatr próbował go obrócić i przypomniało mu się, jak okręcił się na oblodzonym trawniku podczas swojej komicznej wyprawy do skrzynki pocztowej, ale kiedy odwinął kawałek kołdry i rozłożył od nawietrznej strony, ustabilizował lot. Nie mógł tak długo wytrzymać, ale to nie miało znaczenia. Na razie chciał tylko patrzeć w dół i widzieć przyjaciół – Deirdre na trawniku obok wózka inwalidzkiego, pozostałych na ulicy. Minął okno swojej sypialni i zobaczył, że lampa wciąż się pali, rzucając żółty pas światła na łóżko. Widział przedmioty na biurku – grzebień, zegarek, mały zwitek banknotów – których już nigdy nie dotknie. Wzniósł się wyżej i w jasnym świetle księżyca zobaczył, że w załamaniu dachu tkwi frisbee jakiegoś dzieciaka, może rzucone tam, zanim jeszcze on i Nora kupili ten dom.

Dzieciak pewnie jest już dorosły, pomyślał. Pisze w Nowym Jorku albo kopie rowy w San Francisco, albo maluje w Paryżu. Tajemnica, tajemnica, tajemnica.

Teraz wleciał w ciepłe powietrze wypływające z domu, prąd termiczny, i zaczął się wznosić szybciej. Miasto odsłoniło się przed nim jak oglądane z drona albo nisko lecącego samolotu, latarnie na Main Street i Castle View niczym sznur pereł. Widział choinkę, na której Deirdre zapaliła lampki ponad miesiąc wcześniej i która zostanie na miejskim placu do pierwszego lutego.

Tu na górze było zimno, znacznie zimniej niż na ziemi, ale nie szkodzi. Wypuścił kołdrę i patrzył, jak opada, rozpościera się, zwalnia, zmienia w spadochron, nie całkiem nieważka, ale prawie.

Wszyscy powinni tego doświadczyć, pomyślał, i może w końcu ich to spotyka. Może w chwili śmierci wszyscy się unoszą.

Wyciągnął przed siebie SkyLight i skrobnął lont paznokciem. Nic się nie stało.

Zapał się, draniu. Nie dostałem ostatniego posiłku, więc mogę przynajmniej mieć ostatnie życzenie?

Znowu poskrobał.

Już go nie widzę – powiedziała Missy. Płakała. – Odleciał. Możemy...
– Czekaj – przerwała jej Deirdre. Dołączyła do pozostałych na końcu podjazdu Scotta.

– Na co? – zapytał doktor Bob.

– Po prostu zaczekajcie.

Więc czekali, spoglądając w mrok.

– Nie sędzę... – zaczęła Myra.

– Jeszcze trochę – poprosiła Deirdre, myśląc: No dalej, Scott, dawaj, jesteś prawie na mecie, to twój wyścig i musisz wygrać, twoja taśma i musisz ją przerwać, więc nie schrzań tego. Nie zawal. Dawaj, wielkoludzie, zobaczymy, co potrafisz.

Wysoko nad nimi wybuchły olśniewające ognie: czerwony, zielony i żółty. Chwila przerwy, a potem zapłonęła idealna złota furia, roziskrzony wodospad, który spadał, spadał i spadał bez końca.

Deirdre wzięła Missy za rękę.



Doktor Bob ujął dłoń Myry.

Patrzyli, dopóki nie zgasły ostatnie złote iskry i noc znowu pociemniała. Gdzieś nad nimi Scott Carey dalej się unosił, wysoko ponad śmiertelnym uściskiem Ziemi, zwracając uśmiechniętą twarz ku gwiazdom.

Przypisy

¹ Frijole – fasola.

² United States Junior Chamber, pot. Jaycees – nieochodowa organizacja skupiająca ludzi w wieku od 18 do 40 lat, nastawiona na rozwijanie przedsiębiorczości, indywidualne szkolenia, kształcenie umiejętności zarządzania, służbę społeczną i kontakty międzynarodowe.

Spis treści

Okładka

O książce

Strona tytułowa

O autorze

Tego autora w Wydawnictwie Albatros

Strona redakcyjna

Dedykacja

1. Na wadze

2. Holy Frijole

3. Zakład

4. Bieg Indyka

5. Po wyścigu

6. Niewiarygodna lekkość bytu

Przypisy